T. Breza, W. Bylina, E. Caldwell, R. Ordyński, A. Stawar, A. Sowiński

Cena 25 zł

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 30.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14

Rok V | Warszawa, dnia 22 lutego 1948 r. | Nr 8 (169)

ROMAN WERFEL

BYŁ DOPIERO LUTY...



Honoré Daumier

Panowie i panie!... Kopalnie złota, srebra i diamentów, to szmelc w porównaniu z moim solidnym towarem. Powiecie pewno: sprzedajesz swoje akcje za milion. Nie, panowie, ja ich nie sprzedaję, ja je oddaję za jedne marne 200 franków. Dostaniecie u mnie igły, łopatki do kuszu, szydła do sznurówek, a na dodatek moje błogosławieństwo kramarza. Byle szedł interes!

Z małej chmury wielka burza — tak można by sparafrazować stare przysłowie, mówiąc o „les trois glorieuses" — o „trzech dniach, pełnych chwały", które położyły kres panowaniu „króla-bankiera" — Ludwika Filipa i, już oficjalnie niejako, zapoczątkowały wielką falę rewolucyjną, popularnie „Wiosną Ludów" zwaną.

Opozycja parlamentarna, solidna, legalna opozycja — „lewe centrum" i „lewica dynastyczna" Izby, wybranej przez kilkadziesiąt tysięcy uprzywilejowanych, jedynie uprawnionych do głosowania w wielomilionowym narodzie francuskim — domagała się reformy ordynacji wyborczej. Daleka była ona oczywista od jakichkolwiek rojeń o powszechności wyborów. „Pospólstwo" — lud robotniczych przedmieść, ludność chłopska, nawet drobnomieszczaństwo i drobna burżuazja, przysłowiowy sklepikarz francuski — mieli pozostać nadal poza kręgiem „kraju legalnego". Do dwustu tysięcy zaledwie — tak żądała opozycja — miała podnieść się liczba uprawnionych do udziału w wyborach parlamentarnych. Tłumacząc to z języka prawników na język społecznej rzeczywistości: arystokracja finansowa i obszarnicza, dotąd rządząca wyłącznie Francją, miała ustąpić jakiś skromny ułamek władzy reszcie klasy kapitalistów, w szczególności zaś średniej burżuazji.

Bezpośredni powód starcia wyglądał jeszcze mniej poważnie. W królewskiej mowie tronowej znalazło się zdańko o „wrogich namiętnościach i ślepej pożądliwości", które zrodziły akcję opozycji. Posłuszna większość parlamentu w swej odpowiedzi podchwyciła to zdańko. Opozycja czuła się obrażona. I postanowiła protestować. Protestować tak, jak przystoi porządnej monarchistycznej opozycji — mianowicie bankietami. Jak Francja długa i szeroka zbierali się przy biesiadnym stole mieszczańscy smakosze — koszty udziału w takim bankiecie wynosiły niejednokrotnie więcej aniżeli tygodniówka francuskiego robotnika. Obok perlistego szampana lały się potoki wymowy. Po toaście na cześć konstytucyjnego króla — jakżeby można naruszać czcigodny, uświęcony tradycją obyczaj! — rozpoczynały się toasty, by tak rzec, opozycyjne, na cześć reformy wyborczej, na cześć przywódców opozycji, p. Thiersa (późniejszego kata Komuny) i p. Odilon Barrota (późniejszego napoleońskiego ministra), na cześć wszystkich świętych liberalnego panteonu. Toasty szły jeden za drugim, coraz to burzliwszymi przyjmowane oklaskami w miarę jak wzmagał się zapał opozycyjny w piersi biesiadników i jak znikało wino ze stojących przed nimi butelek.

Cóż dziwnego, że opozycyjni przywódcy zasmakowali w tak ponętnej formie działalności? Cóż dziwnego, że postanowili, po sukcesach na prowincji, sięgnąć po laury w stolicy? Bankiet zapowiedziany pierwotnie na 19 lutego, organizowany przez wyborców XII dzielnicy Paryża, miał być bankietem-monstre, demonstracją ogólno-francuskiej mieszczańskiej opozycji. Miał zmusić Ludwika Filipa, by na miejsce Guizota wybrał na swego premiera innego swego najwierniejszego sługę — garbusa Thiersa. Być może, ambasador angielski, Lord Normanby, przyjaciel czołowych działaczy liberalnej opozycji, również byłby chętnie przywitał zmianę warty w rządzie francuskim. Guizot i sam stary Ludwik Filip dosyć ordynarnie wystrychnęli na dudka rząd Jego Królewskiej Mości, kiedy doprowadzili do ścisłych węzłów rodzinnych między dworem paryskim a madryckim...

I być może, właśnie dlatego stary Ludwik Filip postanowił uderzyć pięścią w stół. Zakazał bankietu. Komitet organizacyjny bankietu z początku zareagował groźną miną. Przesunął datę o trzy dni — na 22 lutego, ale zarazem rozszerzył jego ramy, zapowiedział udział w bankiecie oddziałów paryskiej Gwardii Narodowej. Republikański „National" i demokratyczna „Reforme" zapowiadały wielką bitwę — w nadziei, że król się ulęknie. Ale Ludwik Filip cierpiał już na starczy upór. Nie ustąpił. A skoro nie ustąpił król — musiała ustąpić opozycja. Na zebraniu około 90 deputowanych, którzy mieli wziąć udział w bankiecie, zaledwie 18 głosowało za zlekceważeniem królewskiego zakazu. Bankiet został odwołany w noc z 21 na 22 lutego.

Złośliwi twierdzą, że powodem rewolucji lutowej był kiepski kolportaż pism opozycyjnych. Lud Paryża, mówią, nie mógł dowiedzieć się o kapitulacji przywódców opozycji, gdyż nie czytywał ich pism. Trudno nam, sto lat później, stwierdzić, jak to było naprawdę. Jedno jest niewątpliwe: posłowie nie stawili się na miejscu, ale masy ludowe Paryża wyszły w tym dniu na ulicę. I zeszły z niej dopiero wtedy, kiedy stolicę Francji, pociętą z górą półtora tysiącem barykad, opuszczał, w wynajętej dorożce, ściskając oburącz teczkę z papierami wartościowymi, były król Ludwik Filip.

Trzy dni trwały walki. Liczba strat po obu stronach nie przekraczała 350 osób. Nasze pokolenie, przywykłe do bitew, w których biorą udział nie tysiące, nie dziesiątki tysięcy, lecz miliony ludzi, może skłonne będzie do sceptycznego uśmiechu w obliczu tych cyfr. Ale nawet na ówczesne stosunki są to liczby niewspółmiernie małe. Nie mówiąc już o bitwach Wielkiej Rewolucji — powstania tkaczów lyońskich czy też powstanie republikańskie, zwane powstaniem ulicy Transnonain, a zdławione przez marszałka Bugeaud, tego samego, który poniósł sromotną klęskę w walkach lutowych 1848, wykazywały liczby strat znacznie większe od „trois glorieuses". A jednak tamte ruchy pozostały pozbawionymi większego znaczenia epizodami, gdy dni lutowe wstrząsnęły budową społeczną Francji i rozniosły ogień rewolucji po całej Europie.

Dlaczego?

Iskra, która zapaliła się 22 lutego, zapaliła naraz dwie beczki prochu.

Tak się złożyło, że monsieur Thiers, niewątpliwy szef monarchistycznej opozycji, był — nie tylko moralnie lecz także fizycznie — maleńkim człowieczkiem. Ten karzeł musiał osobliwie wyglądać, kiedy, śpiesząc do Tuilerii, okrakiem przeskakiwał barykady, obsadzone przez barczystych, ponurych przedstawicieli słynnego przedmieścia St. Antoine — starego gniazda jakobinów, robotniczej twierdzy Paryża. I było coś symbolicznego w tym obrazie.

Tak skarłowaciały jak Thiers był już wówczas mieszczański liberalizm, pogodzony z przechodzącymi na kapitalistyczny sposób gospodarowania feudalnymi przedstawicielami „ancien régime'u". Tak jak Thiers, mieszczański liberalizm owej doby, jeśli zbliżał się do barykad — czynił to tylko po to, aby siadłszy na nich okrakiem, pośpieszyć co prędzej do królewskiego przedpokoju, do honorowej funkcji ratowania feudalnej, arystokratycznej skóry. Karzeł Thiers był bezsilny wobec proletariackich bojowników barykad. Za plecami karłowaciejącego mieszczańskiego liberalizmu wyrastał groźny cień nowej, potężnej siły: nowoczesnego proletariatu.

W bitwach Wielkiej Rewolucji Francuskiej zwyciężał wysiłek nie burżuazji i jej przedstawicieli ideologicznych — polityków i teoretyków liberalizmu. Burżuazja dyskontowała tylko krew i bohaterstwo ludu francuskiego — rzemieślników, chłopów, biedoty Paryża i innych wielkich skupień miejskich. Ale z tego ludu nie wydzielił się jeszcze wtedy nowoczesny proletariat w odrębną klasę społeczną, zwartą, wyraźną, o własnym obliczu i własnej ideologii.



Honoré Daumier

Nie zbliżaj się do okna, strzelają!

Przeszło pół wieku dzieliło barykady lutowe od dni Wielkiej Rewolucji. Francja w ciągu tego pół wieku — w niemałym stopniu właśnie dzięki owocom tej rewolucji — wyrosła na pierwsze państwo przemysłowe kontynentu europejskiego. W ciągu szesnastu lat panowania Ludwika Filipa wydobycie węgla we Francji wzrosło przeszło trzykrotnie. Jeszcze w roku 1835 Francja miała zaledwie 148 km. linii kolejowych. Dwanaście lat później było ich już przeszło dziesięć razy więcej. Rósł niezwykle szybko kapitalizm francuski. Wraz z nim rósł proletariat najemny, a z jego rozwojem na niebie francuskim pojawiła się nowa groźna chmura — „kwestia socjalna".

Niesłychanie ciężkie były warunki pracy ówczesnego proletariatu. Nieograniczony — dochodzący w praktyce do 14—15 godzin na dobę — dzień pracy, zarobki na poziomie tak niskim, że kawałek mięsa wydawał się niedoścignionym marzeniem, brutalna eksploatacja kobiet i dzieci — oto obraz przemysłu owych lat. Na tle tego obrazu stają się zrozumiałe prądy ideowe owej doby.

Utopijni socjaliści zdawali sobie sprawę, że ten stan rzeczy nie może trwać stale. Namiętni oskarżyciele kapitalizmu, pozostawili po sobie wiele kart tchnących głęboką miłością człowieka, współczuciem dla ludzkiej krzywdy i niedoli. Kreślili obrazy przyszłego, sprawiedliwego ustroju, pełne nieraz genialnych myśli i spostrzeżeń. Ale ilekroć przyszło im od marzeń o przyszłym złotym wieku zstąpić na kapitalistyczny padół płaczu — działy się z nimi dziwne rzeczy.

Fourier, jeden z najczcigodniejszych między nimi, czekał każdego tygodnia w określonym miejscu i o określonej godzinie na bogatego dobroczyńcę, który swymi milionami umożliwi mu stworzenie ludziom raju na ziemi. Bystrość umysłu, którą wykazał się niejeden raz w swej analizie kapitalizmu, nie mówiła mu, że nie znajdzie ani jednego kapitalisty, który zechce się wyrzec majątku dla dobra ludzkości...

Z innymi utopistami bywało jeszcze gorzej. Uczniowie St. Simona wykorzystali wiedzę ekonomiczną, zdobytą dzięki analizie mistrza, aby stać się pionierami... finansowego kapitału, twórcami wielkich banków spekulacyjnych. Szukając drogi do socjalizmu przez serce filantropów albo przez kasy bankierów, socjaliści utopijni nie widzieli rzeczywistej siły, która jedynie mogła walczyć o sprawiedliwość społeczną klasy robotniczej. Robotnik był dla nich tylko przedmiotem polityki, nigdy jej samodzielnym twórcą.

Obok utopijnego socjalizmu działał rewolucyjny, proletariacki komunizm. Sztandar, wzniesiony przez Babeufa u schyłku Wielkiej Rewolucji, przekazał nowemu pokoleniu rewolucjonistów jeden z najbliższych współbojowników Babeufa — Filip Buonarotti. Włoski arystokrata, potomek Michała Anioła, w młodości jeszcze poświęcił swe życie sprawie, której pozostał wierny poprzez wszystkie więzienia i zesłania. Ta postać sędziwego starca, wychowującego na wspomnieniach minionych walk nowe pokolenie bojowników, jest szczególnie bliska nam Polakom. Spotkał go jeszcze człowiek, który wobec polskiej demokracji niepodległościowej odegrał taką samą rolę co Buonarotti wobec rewolucyjnego proletariackiego socjalizmu — Joachim Lelewel. Siedzieli u stóp Buonarottiego w Brukseli Stanisław Worcell i Tadeusz Krempowiecki, wzięli odeń Dobrą Nowinę „porównania kondycji socjalnych", nauczyli się ujmować w pojęcia proletariackiego buntu konsekwentną walkę o wolność narodu i o pełne wyzwolenie chłopa z pańszczyźnianej, szlacheckiej niewoli.

We Francji uczyli się od Buonarottiego rewolucyjni proletariaccy spiskowcy. Ich wcieleniem był Blanqui. Na starych dagerotypach rysują się ostre, tchnące nieprzejednaniem rysy tego „więźnia w permanencji", dla którego chwile, kiedy przebywał na wolności, były tylko krótkimi przerwami więziennego losu. Nieugięty i niezłomny, za każdym razem na nowo podejmował walkę. I on ma swoją kartę w dziejach stosunków polsko-francuskich: „Naród francuski nie włoży miecza do pochwy, póki Polska nie będzie wyzwolona" — taką uchwałę zaproponował trzy miesiące później, 15 maja 1848, w Zgromadzeniu Narodowym.

Ale na razie był luty. Blanqui był jeszcze, jak zwykle, w więzieniu. Na wolności byli jego uczniowie. I oni to — bezimienni i nieznani żołnierze klasy robotniczej — sprawili, że ślepy strzał bankietowej opozycji okazał się nagle uderzeniem gromu.

Mieszczańscy historycy, opisując kłopoty i zmartwienia dworu Ludwika Filipa i jego rządzących czy też pseudo-opozycyjnych lokajów w ciągu decydujących trzech dni walk, powtarzają bez przerwy słowo: „Za późno!" Każde pociągnięcie, zmierzające do zażegnania burzy, do ograniczenia jej zasięgu, do ratowania co się da z monarchicznego ładu, przychodzi za późno. Zmiana gabinetu, zgoda na reformę wyborczą, wreszcie abdykacja króla i ogłoszenie regencji — wszystko jest spóźnione o godzinę czy dwie. Spóźnione — nie dlatego, by za każde takie pociągnięcie nie chwytali się kurczowo królewscy słudzy z „dynastycznej opozycji" czy też wcielenie mieszczańskiego liberalizmu — burżuazyjni, „trójkolorowi" republikanie z „Nationalu". Za późno, bo każdą próbę zatrzymania się przy półśrodkach przekreśla walczący lud Paryża, przekreślają robotnicy paryscy. To oni obalili Ludwika Filipa, to oni zmusili jawnych i zamaskowanych monarchistów do proklamowania republiki. Druga Republika Francuska była dziełem robotników Paryża.

Klasa robotnicza Francji była tą beczką prochu, która zimny fajerwerk Thiersów i Barrotów zamieniła w rewolucyjny pożar.

Świadomość proletariatu paryskiego wystarczała już, aby wywalczyć republikę, ale nie wystarczała, aby tej republice nadać odmienną społeczną treść, aby sięgnąć po władzę w tej republice. Demokratyczno-republikańska frazeologia zasłania jeszcze oczy robotnikom Paryża na zasadnicze przeciwieństwa społecznego antagonizmu. Wojna biednych przeciwko bogaczom głoszona przez Blanqui — to dla większości spośród nich jeszcze walka pomiędzy republiką a monarchią. Blanqui wie, że jest inaczej. Ale Bennoni wróci za kilka dni. Robotnicy Paryża cieszą się zdobyciem republiki. Dopiero za cztery miesiące — w czerwcu 1848 — przekonają się, że burżuazyjna republika potrafi mordować ich o wiele sprawniej aniżeli monarchia Ludwika Filipa. Że potrafi mordować ich, chociaż przedtem sama zniosła karę śmierci, aby uchronić przed sprawiedliwym sądem sługusów monarchii.

Na kilka tygodni przed walkami lutowymi, nieznany nikomu z luminarzy ówczesnej „wielkiej polityki" emigrant niemiecki, doktor Karol Marx, przesłał z Brukseli do Londynu do druku manuskrypt, noszący tytuł „Manifest Komunistyczny".

„Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu — tak brzmiały pierwsze słowa tego Manifestu. — Wszystkie potęgi starej Europy połączyły się dla świętej nagonki przeciwko temu widmu: papież i car, Metternich i Guizot, francuscy piekarze i niemieccy policjanci".

Dwa miesiące później Metternich i Guizot rozmawiali w mglistym Londynie smętnie o swej minionej władzy, papież drżał o przyszłość swego świeckiego państwa, niemieccy policjanci pośpiesznie przebierali się na cywila.

Na straży pozostali tylko radykali paryscy i ich pobratymcy — liberali i mieszczańscy demokraci całej Europy. I trzeba powiedzieć, że spisali się nieźle. Po lutym i marcu rewolucji przyszedł czerwiec mieszczańskiej rozprawy z robotnikami Paryża, przyszła jesień ogólno-europejskiej reakcji. Przyszła dzięki tym, którzy powodzią słów usypiali masy ludowe wtedy, kiedy stary ład **d z i a ł a ł**.

A car rosyjski? „Panowie na koń! W Paryżu rewolucja!" — miał zawołać Mikołaj I do oficerów swej gwardii na wieść o walkach lutowych. Po dojrzalszym namyśle wolał jednak poczekać z siodłaniem koni. Zbyt ryzykowna byłaby dlań interwencyjna zabawa. Trzeba było uprzedniej roboty francuskiej i pruskiej, austriackiej i włoskiej reakcji, aby „żandarm Europy" wstąpił na węgierskie pola bitew w swej dawnej roli. Na razie bał się o własną skórę. Jego małżonka, córka pruskiego Fryderyka Wilhelma, demonstrowała ten strach w sposób wprost śmieszny. Po otrzymaniu wiadomości o wypadkach europejskich wybrała się powozem na miasto, by zobaczyć, czy mieszkańcy stołecznego Petersburga nie myślą przypadkiem budować barykad. Powróciła, ciesząc się jak dziecko, że jej wierni poddani się jej jeszcze — tak jest: jeszcze! — kłaniają.

Robotnicy Paryża nie czytali jeszcze w lutym „Manifestu Komunistycznego". Ale gdyby go nawet czytali — pewnie byliby go nie usłuchali. Bo takie jest prawo historii, że wielkie klasy społeczne uczą się przede wszystkim na własnym doświadczeniu, że książkowa nauka pomaga im tylko w uporządkowaniu, uświadomieniu sobie tego doświadczenia, że tworzy tylko świadomą awangardę, która prowadzi dopiero do walki całą swą klasę.

Był dopiero luty. Rząd republiki obejmowali mieszczańscy radykałowie. Robotnicy Paryża ofiarowali temu rządowi trzy miesiące cierpliwego czekania, trzy miesiące głodu. Wielkie doświadczenie historyczne, naoczna demonstracja słuszności tez, sformułowanych w nieznanym nikomu Manifeście, miała się dopiero odbyć.

Był dopiero luty. „Pianie galijskiego koguta" budziło cały kontynent. Od zimnego fajerwerku, który zapalił francuską beczkę prochu, zaczynała płonąć cała ówczesna absolutystyczna Europa.

Roman Werfel



Thiers *Honoré Daumier*

ERSKINE CALDWELL

przełożyła EWA FISZER

TRAGICZNA ZIEMIA

Dopiero późnym popołudniem skończyli z przenoszeniem mebli do domu Floyda. Jedyną rzeczą, jaką Spence pozostawił, był piec kuchenny, którego, jako własności gospodarza, bał się ruszyć. Kiedy przyszło do zabrania kanapki, na której spała Maud, ta zaprotestowała gwałtownie, obsypując ich najgorszymi, jakie tylko mogła wymyślić, przezwiskami. Z początku Spence usiłował ją przekonać, tłumacząc, że musiał sprzedać meble jeszcze przed wyprowadzką, ale kiedy zdał sobie sprawę, że żaden z argumentów nie zrobił na niej najsłabszego wrażenia, chwycił ją po prostu wpół i uniósł, a Floyd porwał kanapkę. Maud została na stosie starych sukien, a kiedy zaczęła narzekać Spence zwrócił jej uwagę, że mogłaby się obejść przez jedną noc bez wygodnego posłania, skoro i tak muszą wcześnie rano opuścić dom. Jednak perspektywa wyprowadzki i powrotu do Beaseley County nie zastąpiła jej kanapy i Maud długo jeszcze wrzeszczała i drapała, póki nie osłabła wreszcie do tego stopnia, że musiała dać spokój walce o łóżko.

Kiedy się to skończyło Spence pośpieszył na podwórko za domem i z kryjówki pod schodami wydostał ubranie Bubbera. Zabrał je i ruszył do domu Floyda. Przystanął jednak na podwórzu, aby poczekać aż Floyd rozstawi wedle własnego uznania nowe meble. Dużo kłopotu było tylko z wpakowaniem potężnego, małżeńskiego łóżka do pełnego już pokoju, ale Floyd dał sobie radę, odrywając jedną ze ścianek od podłogi i pchając póty aż łóżko stanęło na wszystkich czterech nogach. Wtedy wyszedł do Spence'a.

„Po raz pierwszy mam tyle łóżek, że wszyscy naraz będą się mogli przespać" powiedział, siadając na krawędzi ganku. Słońce już się zniżało i słaby odblask łagodził głębokie zmarszczki zmartwienia i obawy, którymi była pokrajana jego twarz. Spence obserwował go z prawdziwym współczuciem. Floyd był jedynym z jego znajomych, którego walka o utrzymanie się na powierzchni była jeszcze bardziej zniechęcająca i beznadziejna niż jego własna.

„Jeśli dalej będą się zjawiały w tym tempie, to tylko patrzeć jak nas dogęści nowa partia" westchnął Floyd, odwracając głowę i obserwując ognisty odcinek horyzontu.

„Chciałbym, na Boga, żeby był jakiś sposób na moją starą, żeby przestała, choćby na krótko. Tak jak teraz, to jeszcze dziesięć lat, a będę miał więcej córek niż mieli kiedykolwiek dwaj, razem wzięci mężczyźni. Kiedy myślę o tym, to tylko jedno mogę powiedzieć, że Bóg zesłał widać to przekleństwo na biednych ludzi. Bogaci sobie zawsze jakoś dają radę i rodzą im się chłopcy. A biedny, taki jak ja, dostaje dziewczyny. To nie pięknie".

„Tak samo było ze mną" — zgodził się Spence — „Jednego tylko nie wiem, czy dlatego dostałem dziewczyny, bo byłem biedny, czy też byłem biedny, ponieważ je miałem. Zresztą i tak wychodzi w końcu na to samo. Zresztą biedni, tacy jak ja i ty, to żeby nie wiem co robili — i tak w końcu mają piekło. I dlatego postanowiłem palcem więcej nie ruszyć. Nie warto spędzać życia walcząc, skoro i tak musi być coraz gorzej".

Siedzieli jakiś czas milcząc, a kiedy słońce ostatecznie już znikło im z oczu, Spence wstał.

Floyd wstał także i poszedł za Spencem naokoło domu, a potem przez wybujałe chwasty, otaczające szopę. Drzwi były zamknięte i Spence, nim je otworzył, wspiął się na palce, aby zajrzeć przez okno. Na pierwszy rzut oka nie było nic widać, wytarł więc szybę z kurzu i zajrzał powtórnie.

„Co się stało" — spytał po cichu Floyd. Nie odrywając oczu Spence zaczął nerwowo kiwać rękami.

„Chodź tu Floyd — szybko"! — szepnął.

Floyd wspiął się do okna, rozpłaszczając nos o szybę.

„Widzisz? — zapytał Spence, pakując mu w bok łokieć.

Floyd nim odpowiedział, otarł starannie kurz i spojrzał po raz drugi.

„Justyna" — jęknął, odwracając się do Spence'a i patrząc mu prosto w twarz. „No tak, to ona". Floyd ruszył ku drzwiom, ale Spence zatrzymał go za ramię.

„Poczekaj no chwilę, Floyd" — powiedział mu. „Lepiej, tak jak tam teraz wygląda, nie pchać się. Mógłby co zrobić". — Pochylił głowę — „Zastanówmy się".

„Jezu Chryste! Jakby się jeszcze było nad czym zastanawiać!"...

„Lepiej nic nie rób, póki nie będziesz wiedział, co robisz" — ostrzegł go Spence — „Masa ludzi spędza całe życie, nie mogąc odżałować tego, co zrobili w zbyt wielkim pośpiechu. Póki jeszcze nie wlazłeś w kłopoty, to się pilnuj i tego nie psuj".—Mógł jeszcze widzieć twarz Floyda, drgającą nerwowo w bladym zmierzchu. Jego palce kręciły guzik u koszuli ciągłym, jednostajnym ruchem. Spence chwycił go za naprężone ramię.

„Jezu! Spence — ja wiem, co robię. Czy można zbyt surowo ukarać człowieka, który postąpił w ten sposób z małą dziewczynką?!" Oczy mu się zwęziły i spoglądały lodowato, kiedy przystanął i przyglądał się guzikowi, który został mu w ręku. — „Nic nie jest w stanie mnie zatrzymać".

„Być może, że to nie tylko wina Bubbera, Floyd" — perswadował Spence. „Może to ona — może Justyna"...

„To nie ma nic do rzeczy. Zawsze się zdarza to samo. Przy każdym zetknięciu biednego z bogatym. Widziałem to zbyt często wszędzie, gdzie sobie tylko możesz wyobrazić, aby nie poznać się na tym dziś, kiedy się wydarzyło na moim własnym podwórku. Akurat czas z tym skończyć!" Floyd odszedł chwiejnym krokiem od Spence'a, aby wyciągnąć siekierę tkwiącą w pniaku, z drugiej strony szopy. Ogarnęły ich nagle ciemności. Spence mógł dokładnie przyjrzeć się gromadzie małych córeczek Floyda, zgromadzonych w oświetlonej kuchni, wokół pieca.

„Uważaj, Floyd" — prosił, próbując wyjąć mu z ręki siekierę. „Nie zrób czegoś, czego byś potem żałował".

Floyd odsunął go szorstko: „Niczego nie będę żałował. Właśnie od dziś" — powiedział otwierając drzwi szopy. Zniknął wewnątrz, a Spence pośpieszył za nim.

Justyna pisnęła cienkim, dziecinnym głosem: „Tato". „Zejdź z drogi, Justyna" — rozkazał jej — „właź do kąta i siedź tam".

Spence zobaczył, jak Justyna oderwała się od Bubbera i przycupnęła strachliwie w kącie. Wpakowała cały kawał sukni do ust, a łzy kapały jej po twarzy. Bubber skoczył w drugi kąt. Jego zwykły, chłopięcy uśmiech przyrósł mu w tej chwili do twarzy. Oczy stały się okrągłe i nabrzmiałe strachem.

„Panie — prosił Bubber, przytulając się jednocześnie do ściany. „Proszę mnie nie zabijać! To nie moja wina. Uczciwie, na Boga, to nie moja wina. To ona tu weszła i poprosiła mnie o pięćdziesiąt centów. Powiedziałem, że nie mam grosza, ale nie chciała odejść. To nie ja zacząłem. To ona. Proszę ją spytać, panie. Niech powie prawdę, panie. Proszę, panie".

Floyd odwrócił się i spojrzał na córkę, skuloną w kącie. Wpakowała już tym czasem do ust tyle materiału, że nie mogła wydobyć głosu. Ciągle jeszcze kapały jej łzy.

„Na Boga, panie. Niech sama powie" — jęczał Bubber. Wtłoczył pięści do oczodołów, w rozpaczliwym wysiłku powstrzymania łez, które go oślepiały.

„Błagam, niech pan ją zmusi, żeby wyznała prawdę. Wcale nie próbowałem jej dotknąć. To ona powiedziała, że chce. To nie ja. Musi mi pan wierzyć. Mówiłem jej, że nie mam grosza. Błagam pana, niech mnie pan nie bije tą siekierą. Na litość Boga, niech pan mnie nie bije". — Bubber błagał jeszcze, kiedy Floyd podniósł siekierę i rzucił. Tępy, płaski obuch uderzył Bubbera nad skronią i prawie natychmiast chłopiec ze słabym jękiem osunął się na podłogę. Floyd uniósł siekierę po raz drugi i trzymając ją w pogotowiu czekał w napięciu na jakiś znak życia leżącego ciała. Po chwili odrzucił topór i podszedł do drzwi.

„Wielki Boże Wszechmogący" — szepnął Spence, trzęsąc się od stóp do głów. „Wielki Boże Wszechmogący" — powtórzył znowu i znowu.

Floyd stał w drzwiach, twarzą do środka, a wzrok jego błądził tam i z powrotem, zatrzymując się to na nieruchomej postaci Bubbera, to na córce. Jego ręce zaczęły nerwowo drgać, musiał się oprzeć o framugę. „Nic mi nie żal" — powiedział takim tonem, jakby mówił do siebie. „Teraz kiedy się to już stało, nie żałuję ani odrobiny. Wcale. Mógłbym to zrobić jeszcze raz". Justyna szarpała bawełnianą sukienkę, usiłując ją wyciągnąć z ust. Wepchnęła jej tyle, że dławiła się i nie mogła oddychać. Floyd podszedł do córki i starannie wydobył zmięty materiał. Pomógł jej naciągnąć sukienkę i zapiąć kołnierzyk. Potem wziął ją na ręce, nie zrażając się wrzaskiem.

„Tato, nie bij mnie" — błagała histerycznie — „Proszę, tato. Już nigdy nie będę. Już nigdy. Nie bij mnie. To ostatni raz, tato.

Floyd otarł jej łzy i przytulił delikatnie do siebie.

„Moja mała dziewczynka" — powiedział, gładząc ją po włosach i po twarzy. „Moja droga, mała dziewczynka. Kochana moja, droga mała dziewczynka. Justyna — Justyna — Justyna".

„Obiecuję ci tato" — szlochała z wdzięcznością. „Obiecuję ci. Obiecuję".

Floyd postawił Justynę na nogi i wyprowadził z szopy w gwiaździstą, księżycową noc. Mała przylgnęła do niego, płacząc jeszcze z cicha, podczas gdy prowadził ją w kierunku oświetlonej kuchni. „Idź do domu i zjedz kolację" — powiedział, popchnąwszy ją lekko.

„Dobrze tato" pisnęła i pobiegła przez chwasty. Patrzył jeszcze za nią, póki nie weszła do domu, a następnie zawrócił do szopy. Obaj ze Spencem weszli do środka i Floyd zapaliwszy zapałkę pochylił się nad ciałem Bubbera. Oparzył sobie palce i niecierpliwie zgasił ogienek. Spence czekał niespokojnie, co tamten ma zamiar zrobić. — Zapytał wreszcie:

„No i co Floyd?"

„Pomyślałem o tym już przedtem"—odpowiedział spokojnie. „Zanim zacząłem — przestałem na chwilę myśleć o tym, co zrobił z Justyną. Nigdy by się to nie zdarzyło, gdybym utopił je wszystkie, tak jak ci to kiedyś mówiłem. Zwlekałem zbyt długo i to wszystko. Wiedziałem, że to się kiedyś musi zdarzyć, kiedy mała włóczyła się całe lato za mężczyznami prosząc o miedziaki. Wiedziałem o tym i nie zabrałem od razu jej i całej reszty nad kanał. Nigdy sobie nie daruję".

„Ale teraz zrób z nim najpierw porządek" — powiedział poruszony Spence. „Przecież go tutaj nie zostawisz".

„On nie żyje, co?"—spytał drewnianym głosem Floyd.

„Jeszcze jak. Jak zdechły szczur" — odpowiedział Spence — „Ale zrób z nim coś. Nie może tu zostać".

„Pewnie, że muszę się go pozbyć. Wcześniej czy później i tak mnie pewnie schwytają, ale teraz nie dbam o to, co ze mną będzie. Spełniłem swój obowiązek".—Wyszedł z szopy i stanął oświetlony przez księżyc. Spence stał za nim, w drzwiach, obserwując dzieci bawiące się w kuchni. Widział jak Justyna podeszła do okna i patrzyła przez chwilę w kierunku szopy.

„A przecież to dopiero początek" powiedział Floyd — „One wszystkie lada moment będą takie. Jak tylko skończą jedenaście, dwanaście lat — trzeba będzie po nich tego samego oczekiwać. Nie ma mowy, żeby je upilnować, a w każdym razie ja nie wiem jak, szczególnie tu, w tym przeklętym Poor Boy. Będą się włóczyły po ulicach, tak jak Justyna, a kiedy zaczną prosić mężczyzn o pieniądze, to się już potem przed niczym nie cofną".

Odwrócił się i spojrzał na Spence'a.

„Spence, najgorszym przekleństwem, jakim Bóg może obdarzyć człowieka, jest bieda i dom pełen córek".

Wrócił do szopy i zapalił drugą zapałkę. Spence słyszał, jak podnosi ciężkie ciało i wlecze je za sobą na zewnątrz.

„Zostań tu, Spence" — rozkazał Floyd — „Sam się tym zajmę. Nie chciałbym, żebyś się niepotrzebnie wplątał. To moja sprawa. Poczekaj tu na mnie. I wyruszył z przewieszonym przez plecy ciałem Bubbera. Spence obserwował, jak brnął po kolana w chwastach, torując sobie drogę do kanału, odległego o jakieś sto metrów. Nad kanałem ujadały psy, ale nie dość blisko ,aby przeszkodzić. Najbliższy dom był oddalony o jakieś pięćdziesiąt metrów, ale w innym kierunku, tak że nikt z sąsiadów nie mógł dojrzeć, co się zdarzyło u Floyda...

Spence usiadł na ziemi i oparłszy się plecami o szopę, czekał. Nasłuchiwał, jak szczekają psy. Powtarzał sobie, że gdyby Justyna była jego córką, postąpiłby tak samo, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mocniej wątpił, czy by jednak potrafił zabić człowieka. Ale nie mógł ganić Floyda i wiedział, że cokolwiek by zaszło, nigdy o tym, co się stało, nie piśnie słowa; z drugiej strony jednak miał nieprzyjemne poczucie, że zabicie Bubbera było właściwie niepotrzebne i mało co mogło dopomóc sytuacji. Dopóki dziewczyny będą żyły w Poor Boy, zawsze znajdzie się ktoś, kto je skusi za pomocą pieniędzy czy prezentów, a kiedy skończą dwanaście, trzynaście lat — uciekną z domu tak jak jego Mavis. Zbyt głęboko zakorzenił się wśród nich zwyczaj proszenia o pieniądze, aby się je dało tego oduczyć. Spence ciężko opuścił głowę. Nie miało sensu podsycać w sobie wiary w życie, skoro się nad nim nie miało najmniejszej władzy, i żeby się nie wiem jak borykało z losem, nie było mowy, aby go opanować. Jednocześnie jednak podziwiał Floyda za jego wysiłki. Bez względu jednak na powodzenie czy niepowodzenie przyjaciela wierzył w niewzruszoność życia w Poor Boy, tak łatwego do przewidzenia jak wschód i zachód słońca, którego nie mogło zmienić byle morderstwo. Przyjmując nędzę jako coś nieuniknionego, skazywał się na przepędzenie reszty swoich dni w Poor Boy lub Beaseley County, w zależności od szczęścia. Żałował, że Floyd nie doszedł przed zabiciem Bubbera do tego samego wniosku — zamiast popełniać zbrodnię — niepożyteczny bunt przeciw nędzy.

Usłyszał, jak Floyd brodzi między chwastami i podniósł się. Floyd oddychał szybko, po pośpiesznym powrocie znad kanału.

„Jak tam"? — spytał go.

„Wrzuciłem go do kanału" — powiedział Floyd i przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. — „Prąd jest silny i poniesie go szybko. Na rano powinien być w Gulf".

„Czy widziałeś kogoś — czy ktoś cię widział"?

„Chyba, że nie zauważyłem". — Oparł się o ścianę szopy — „Oprócz nas dwóch nikt o tym nie wie, Spence".

„Nie zapominaj, że była przy tym Justyna. Ona wie".

„Porozmawiam z nią. Możesz być pewny, że nikomu już potem słowa nie powie. Nie ma obawy".

„Nie niepokój się o mnie" — powiedział szybko Spence. „Mnie nikt ani nic nie skłoni do mówienia".

Floyd skinął głową, ale się nie odezwał. Odwrócił się i patrzył w stronę kanału, przez księżycowe światło. Psy uciszyły się, nie było nic słychać. Po chwili wyprostował się, wszedł do szopy i wrócił, niosąc siekierę.

„Nie stać mnie na to, aby ją wyrzucić" — oznajmił, patrząc się na Spence'a — „Nie kupiłbym drugiej, a muszę mieć coś do rąbania drwa".

Zapalił zapałkę i przyjrzał się ostrzu i nasadzie. „Zachowam ją — zadecydował — to mnie nie zdradzi". I nie czekając na zdanie Spence'a powędrował z nią do pnia. „Co będziesz teraz robił, idziesz na kolację?" — spytał niespokojnie Spence. „Nie. Nie będę jadł tej nocy". — Oparł się o kuchenny ganek. — „Trochę mnie to wzięło, Spence. Nic nie poradzę. Przeszedłbym się kawałek".

„Ja też" — zgodził się szybko Spence. Z niepokojem myślał już przedtem o powrocie do domu. — „Spacer nam dobrze zrobi". Wyszli więc na ulicę i zwrócili się w kierunku miasta. Szli w milczeniu, szybko, trzymając się blisko siebie. Gdy doszli do pierwszych sklepów, Floyd stanął pod drzewem, w cieniu. Ulica wydawała się jaśniej oświetlona niż zwykle.

„No co tam, Floyd"?

„To mnie jednak wzięło". — Oddychał szybko. — „Może jednak postąpiłem niesłusznie".

„Chciałbym, aby Jim Howard był tutaj. On ma głowę na karku. Wiedziałby, co robić".

„Kto to taki?"

„Żołnierz z Beaseley County, który się ożenił z Libby. Uważa Poor Boy za nędzną norę — zupełnie jak ty. Razem moglibyście sobie wiele rzeczy ślicznie obmyślić".

„No i co by to pomogło, skoro ja już zabiłem Bubbera... Nigdy dotąd nie zabiłem człowieka i nienawidzę samej myśli o tym. I w końcu to nie powstrzyma ani Justyny, ani reszty. Jak tylko znajdą okazję, wyślizną się z domu i zrobią znowu to samo".

— Spojrzał bezradnie na Spence'a. — „Naprawdę dużo bym dał, aby się to odstało".

„Jak już ktoś raz umarł, to i zostanie umarłym".

„Jezu Chryste! W tym cały kłopot. Żeby się to mogło odstać! Spence wziął go za ramię i poprowadził ku miastu. Floyd szedł jak ślepy i kiedy doszli do rogu, Spence musiał go popchnąć we właściwym kierunku.

„Chodźmy do klubu Billa" — poddał Spence — „Dostałem forsę. Jest tego trzydzieści dolarów".

Floyd szedł za nim bez słowa. Dopiero przed samym klubem zatrzymał się i oparł o drzewo.

„Jutro już to wszystko zostawisz za sobą" — powiedział. — Floyd spojrzał mu prosto w oczy i pokręcił głową: „Pomóc by nam mogło tylko jedno: żeby ktoś przyszedł i po prostu starł z mapy to przeklęte Poor Boy. A jedynym sposobem, żeby do tego doprowadzić, żeby kogoś do tego namówić byłoby podnieść naokoło wielki krzyk, żeby zobaczyli, co się tu dzieje. Kiedy Poor Boy zniknie, nie będę już miał kłopotów z moimi małymi. Będziemy mogli zamieszkać gdzie indziej, gdzieś, gdzie potrafię im stworzyć przyzwoite życie".

„Jakaś wielka awantura mogłaby pomóc" — Zgodził się Spence — „Ale jak to zrobić. Ja nie wiem. Jeżeli po prostu staniesz na ulicy i zaczniesz głośno krzyczeć o tym, co się tu dzieje, to wsadzą cię tylko do ula. I nic ci z tego nie przyjdzie".

— „Myślałem o tym. Nie wiem jeszcze jak, ale znajdę sposób. Nie mogę przecież tylko dlatego, że moje dziewczyny dorastają i włóczą się po ulicach — spędzić reszty życia na mordowaniu ludzi. Złapaliby mnie zresztą prędzej czy później, a wtedy moje małe puszczą się bez mojej opieki jeszcze wcześniej".

Przeszli przez ulicę i otworzyli drzwi klubu. Floyd nacisnął kapelusz na oczy i wszedł za Spencem do baru. Poprosili o piwo.

Podeszli do jednego ze stołów gry i przyglądali się jakiś czas, jak padają kości. Potem Spence wyjął pieniądze i przeliczył je. Floyd zmienił dolara na drobne i dopiero wtedy postawił. Spence tymczasem dokończył piwa i utorował sobie drogę do sąsiedniego stołu. Zsunął kapelusz na tył głowy i postawił dolara.

Erskine Caldwell

przełożyła: **Ewa Fiszer**

Dalszy ciąg bitwy o Sartre'a

Po wystawieniu w berlińskim Teatrze Hebblowskim sztuki Sartre'a „Muchy" przybył wreszcie do Berlina sam autor. Zapał wielbicieli i przeciwników znacznie ostygł, kiedy wysłuchali odczytu filozofa. Tytuł brzmiał: „Co to jest egzystencjalizm" — jednak temat dyskusji ograniczył Sartre od razu do tej tylko części swojej filozofii, która jest zawarta w wystawianym dramacie.

SARTRE SIĘ WYCOFUJE

Sprawozdawca tygodnika „Sonntag" (nr 5 z 8 lutego 1948) pisze w artykule „Wygasła ekstaza":

„Pierwszy dyskutant, prof. Steiniger zaatakował na podstawie sztuki filozofię Sartre'a. Ale wyjaśnienie poety, jaka była geneza i cel napisania „Much" zaskoczyło i otrzeźwiło do reszty jego przyjaciół i przeciwników. Gdy w inscenizacji Fehlinga mitologia grecka wydaje się celem samym w sobie, Sartre podaje ją za środek oszukania cenzury. Odrzucenie skruchy za zbrodnię, popełnioną w celu wyzwolenia, również miało pewien szczególny cel. Psychiczna siła sprzeciwu za niemieckiej okupacji we Francji była nawet u najmężniejszych tak pognębiona przez egzekucje zakładników, że to wezwanie było konieczne. Choćby ten pogląd z punktu widzenia politycznego był słuszny i właściwy, to jednak takie tłumaczenie mało wyjaśnia zawartą w sztuce filozofię. Co więcej, Sartre zaprzecza w ten sposób nawet powszechnie uznanemu charakterowi tej sztuki i usuwa grunt spod nóg zaskoczonym przeciwnikom."

Nie to jest jednak najsłabszym punktem filozofii Sartre'a. Punktem tym jest problem wolności, która wedle jego słów „zaczyna się po drugiej stronie rozpaczy." Tę swoją tezę interpretuje Sartre zgoła sofistycznie, wymykając się swoim przeciwnikom. „Nie mówił o jednej, tylko o trzech różnych wolnościach: indywidualnej, zbiorowej i metafizycznej. Nieoczekiwanie powołał się na słowa Hegla: „Nikt nie może być wolny, jeśli nie są wolni wszyscy" i w ten sposób uzależnił wolność jednostki od wolności społeczeństwa. Swoje żądanie absolutnej wolności pozbawił zupełnie znaczenia w realnym świecie, przenosząc w krainę utopii społeczeństwo, w którym ona jest możliwa."

NIEŻYCZLIWE OCENY

Również Günther Birkenfeld w dwutygodniku „Horizont" (nr 2 z 28 stycznia 1948) poddaje ostrej krytyce sztukę Sartre'a.

„Istota, a nie natura. Gdyż postaci egzystencjalistów nie mają natury w zwykłym tego słowa znaczeniu. Nie mają żadnej ustalonej natury, dominujących właściwości, które by decydowały o ich postępowaniu. Nie kieruje nimi wola boskości ani los, ani fatum. Sartre buntuje się przeciw klasycznemu dramatowi; jego Orestes jest sumą właściwości, możliwości postępowania. Postawiony wobec konieczności decyzji, ma on „z wewnętrznej wolności" dokonać wyboru, szukać swojej drogi. I dopiero skutki jego decyzji stwarzają jego dramatyczny charakter i jego fatum. Mogło to doprowadzić do rewolucji w dramatopisarstwie i otworzyć przed poetami nowe możliwości, o ile im się uda uwypuklić każdą decyzję ich bohatera przez proces, w którym widz jest zainteresowany z takim samym napięciem i podnieceniem, z jakim śledzi los niewinnie ginącego Edypa Sofoklesa lub szekspirowskiego Otella, który zawinił zazdrością. Sartre'owi to się nie udało. Jego Orestes wymyka się nam (i sobie) właśnie w swoim „momencie egzystencjalnym." Wewnętrzna wolność Orestesa, decyzja, którą mu zesłał na jego modły pogardzany bóg Zeus, ten „komiwojażer dusz", jest „w pełnym znaczeniu tego słowa iluzją". A na tej „wewnętrznej wolności" opiera się cała sztuka.

„Dlaczego Orestes decyduje się przekleństwo wyrzutów sumienia, usymbolizowane w rojach much, niosących zarazę, ściągnąć z miasta Argos na siebie samego przez dokonanie mordu na Egiście i Klitemnestrze?

Nie czuje nad sobą żadnego nieba, żadnego boskiego porządku świata, nie jest poddany żadnemu prawu moralnemu. Poczucie odpowiedzialności jest mu równie obce, jak i nienawiść wobec zbrodniczej pary na tronie lub współczucie dla mieszkańców Argos... Również Elektra nie wiąże go z Argos... Za jedyny poważny motyw uważać można jego życzenie, aby przez uwolnienie Argiwów od ich wspólnej winy odzyskać prawa obywatelskie w mieście ojczystym, które mu się stało zupełnie obce i godne pogardy. Pod osłoną mitu Atrydów życzenie to potęguje się do tego stopnia, że Orestes potrafi zamordować Egista i własną matkę, że później potrafi bronić swego czynu jako „dobrego" i „słusznego". Ale czy Sartre nie zamienia tutaj dwóch wielkości, które się nie dadzą pogodzić: sobkostwa i dobra powszechnego? W niedawnej przeszłości doświadczyliśmy, co z tego wynika, kiedy sobkostwo pod pokrywką frazesów podaje się za dobro powszechne: wynika samowola, przemoc, klęska. Na Argos spada nowa krwawa wina, obywatele powstają przeciw Orestesowi, i ten pozostawia ich na łup zwątpienia, jak pozostawia i siebie. To zwątpienie potwierdza w sobie z intelektualną radością. Rezygnuje z praw obywatelskich tak krwawo zdobytych, odmawia wszelkiej skruchy i traci Elektrę, która skruszona ucieka się do Jowisza. Odwraca się od porządku Kosmosu, od zapalających się gwiazd na niebie. Zupełny zmierzch wartości panuje w nim i koło niego. „Obcy samemu sobie. Poza natura. Przeciw naturze. Bez wybaczenia, bez żadnej ucieczki prócz samego siebie. „Tak kroczy w nicość, a za nim roje much — w patetycznej postawie, na którą patrzymy z intelektualnym zaciekawieniem i obawą, że na wielu młodych ludzi zrobi głębokie wrażenie".

iap

ROMAN BRATNY

PRZYWITANIE MADONNY

Wieczór. Światek w lekkiej spódniczce
barw wiosennych w groszki i kwiaty.
Na rogach ulic zaświecają przekupki uliczne
barwne kosze owoców: wiśnie,
chyba każda z twoich ust oblizała kształt i karmin.

Błyskawice zapomniały o niebie — u neona
reklamują wesoło film, na którym pewnie się śmiałaś.
Dorożkarz bez nogi kule na koźle oparł,
gdy do domu nas wiezie po wojnie jednego świata.

To tutaj. Stajemy. Powrót — po tylu oceanach!
To tu świtały narodziny
naszych pierwszych dni i słońca ostatnie
tu nam zachodziły.

Stopnie szczęścia! — zdeptane nędzą i ohydą
— o ileż wyższy każdy niż granitowy cokół
obcych pomników.
Miła! Jesteśmy w domu.

Za mną tyle ulic leży —
porzuconych jak spodnie więzienne, z których wyszedłem żywy.
Nagi — obdarty chyba nawet z bicia serca —
słucham twoich oczu świętych. Ach, jak tkliwych!

Nie byłaś wierna? Ha, ha! Przecież byłaś Madonną,
— może — jeśli spędziłaś płód
zbawiciela zepchnęłaś, jak dorożkarz w twoich oczach
ulic znika ze stopnia spod stóp!

Cicho! Może w twoich oczach odnajdę ten cień.
Łza? Ludzie odnalezieni płaczą z radości.
Noc. W oknie stanął księżyc
lekko — jak posąg odlany z samej zazdrości.

WOJCIECH BYLINA

MITY AMERYKAŃSKIE

Wolność słowa

„...we must first clean our own house‘.
(Morris L. Ernst, „The First Freedom“, MacMillan, N. Y., 1946).

„Musimy najpierw oczyścić własny dom“, jeśli chcemy uczyć innych. Miło jest znaleźć taką niecodzienną uwagę w książce konserwatywnego publicysty amerykańskiego. Miło — bo na ogół w publicystyce, która do nas dociera zza oceanu, znajdujemy rzeczy zupełnie odmienne.

Przeżywamy teraz okres, kiedy Stany Zjednoczone nie tylko usiłują podporządkować sobie rynki całego świata, zdobyć decydujący wpływ na politykę innych krajów, opanować bazy wojenne na całej kuli ziemskiej. Przeżywamy również — chyba po raz pierwszy w historii — okres, w którym Amerykanie usiłują uczyć stare narody europejskie demokracji, stawiając nam, Europejczykom, za wzór swoje normy życia społecznego.

Cechą starych kultur europejskich jest również chęć uczenia się od innych. Wskazuje na to wielka, historyczna tradycja kultury europejskiej. Ale ucząc się od innych, słuchając pięknych haseł, lubimy też zawsze wiedzieć, **kto** nas uczy i **jak** ten pretendent do roli naszego nauczyciela realizuje **u siebie** hasła, w imię których udziela **nam** wskazówek. Daje to od wieków możliwość przenoszenia z oddali tylko wzorów wartościowych.

Dlatego wydaje nam się celowe dokładniejsze wejrzenie w stosunki wewnętrzne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Posługiwać się będziemy w tym celu przede wszystkim materiałami amerykańskimi, najchętniej oficjalnymi, oraz takimi, które pochodzą ze źródeł konserwatywnych, nie podejrzanych o wrogość w stosunku do systemu amerykańskiego.

✤

Ulubionym „eksportowym“ hasłem amerykańskim jest hasło wolności słowa, to hasło, które prezydent Franklin D. Roosevelt nazwał „first freedom“ — pierwszą ze swobód obywatelskich. Wolności słowa chcą nas Amerykanie uczyć przede wszystkim. Przyjrzyjmy się więc spokojnie i rzeczowo wolności słowa w Stanach Zjednoczonych.

Zacznijmy od podstaw. Kto w Stanach Zjednoczonych może założyć gazetę lub tygodnik? Mark Ethridge, wydawca „Courier-Journal“ oraz „Times“, dwóch bynajmniej nie lewicowych pism w Louisville, w stanie Kentucky, stwierdza:

„Interes gazetowy (newspaper business) wyszedł już z tego stadium, kiedy człowiek z ideałami, a nawet z mózgiem, mógł zacząć wydawać gazetę. Musi on jeszcze mieć pieniądze“.

Wolno dodać w uzupełnieniu, że mózg i ideały dziś nie są niezbędne do wydawania gazety w USA. Wydawcą może być nawet obłąkany, notoryczny alkoholik, zboczeniec, analfabeta — to nieważne. Ale musi mieć pieniądze, i to nie byle jakie. Musi mieć miliony, aby rozpocząć. Koszty maszyn drukarskich i koszty pierwszych lat walki o czytelnika obliczać trzeba dzisiaj na kilka milionów dolarów. Rzecz prosta, że takimi sumami rozporządzają tylko potentaci finansowi. Nie jest przypadkiem, że cały amerykański ruch zawodowy nie zdołał po dzień dzisiejszy stworzyć w Stanach Zjednoczonych jednej jedynej gazety, która mogłaby się mierzyć na rynku z gazetami należącymi do miliarderów.

Dwa przykłady. „Gotowa“, to znaczy już wychodząca gazeta — drugorzędna zresztą! — „Philadelphia Inquire“ została przed ostatnią wojną sprzedana za okrągłą sumkę 18.000.000 dolarów. Liberał-bogacz (zdarzają się tacy) Marshall Field odziedziczył ogromną fortunę i założył postępowe, znane pismo „P. M.“ — choć rzucił na to dziesiątki milionów dolarów, pismo jeszcze nie przynosi dochodu.

To samo naturalnie dotyczy radia. Tylko bogacz może uruchomić radiostację.

Toteż nic dziwnego, że na rynku wydawniczym utrzymują się w Stanach Zjednoczonych jedynie najbogatsi, nic dziwnego, że wykupują oni konkurencyjne gazety, zamykają je, lub włączają do swoich koncernów prasowych. Wymownie informują nas o tym cyfry. Stany Zjednoczone miały przed pierwszą wojną światową 2.600 dzienników, po tej wojnie zaś wychodzi już tylko 1744, aczkolwiek czytelnictwo nie zmalało, przeciwnie — wzrosło do nakładu 40 milionów egzemplarzy dziennie (w przybliżeniu). Jasne, że zaszedł proces skupiania gazet w coraz mniejszej ilości rąk. Proces ten trwa zresztą nadal. Warto przyjrzeć się jaskrawemu przykładowi największych miast amerykańskich, w których zjawisko to występuje w sposób jeszcze silniejszy.

	1910 dzienników	1939 dzienników
New York	22	11
Chicago	10	4
San Francisco	9	4*

„Produkcja gazet“ została już niemal całkowicie zmonopolizowana przez wielkie trusty, które jednoczą w swoich rękach nie tylko wydawnictwa i drukarnie, ale również przemysł papierniczy, a nawet ogromne przedsiębiorstwa przemysłu drzewnego, zaopatrujące przemysł papierniczy w papierówkę. Około 40 proc. dzienników jest własnością zaledwie kilkunastu koncernów. Najważniejsze z nich to przedsiębiorstwa Hearsta, Scripps-Howarda, MacCormick - Pattersona, Franka Gannetta i innych. Jedna spółka handlowa jest właścicielem około 3.000 (trzech tysięcy!) tygodników amerykańskich. W stanie Virginia jeden człowiek posiada dwie trzecie całej prasy stanu (a jest to stan niemały, liczy prawie 3.000.000 mieszkańców, należy do założycieli Unii i lubi być uważany za wzór „amerykanizmu“).

W 1280 miastach amerykańskich wychodzi tylko jedna gazeta, lub też dwie, należące do tego samego właściciela. Toteż ekspert amerykański, dr Raymond B. Nixon, redaktor czasopisma fachowego „Journalism Quarterly“ pisze w zeszycie czerwcowym 1945 roku:

„Na 40.000.000 ogólnego dziennego nakładu naszych gazet, około 16.000.000 wychodzi bez konkurencji... Faktyczna konkurencja między gazetami występuje już tylko w 117 miastach Stanów Zjednoczonych“.

Innymi słowy — w ogromnej, przeważającej ilości miast amerykańskich posiadających gazetę, ma ona monopol informowania opinii publicznej. Jak powiedzieliśmy powyżej — jej wydawcą, decydującym o linii pisma, może być nawet półgłówek, byle tylko miał pieniądze. Na jego łasce i niełasce jest czytelnik amerykański.

Jak wielkie zaniepokojenie wywołuje ten stan rzeczy nawet w Stanach Zjednoczonych, dowodzi fakt, że specjalna komisja, mianowana przez prezydenta Trumana dla zbadania „stanu przestrzegania swobód obywatelskich“ w USA, raportowała mu wcale niepocieszający stan rzeczy. Na stronie 164 tego raportu („To Secure These Rights“, United States Government Printing Office, Washington, 1947) komisja zaleca, aby kongres i ciała ustawodawcze stanów uchwaliły, że:

„wszelkie grupy, które zamierzają wpływać na opinię publiczną, muszą przez systematyczną rejestrację ujawniać istotne dane o sobie. Rejestracja powinna obejmować nazwiska kierowniczych osobistości, źródła finansowe“ itd.



Honoré Daumier

Morderca

Rzecz prosta, niewiele pomoże, nawet jeśli ta propozycja zostanie wykonana. Nie w tym bowiem tkwi źródło zła. Cóż z tego, że będzie wiadomo (nawet, gdyby założyć, że finansiści nie potrafią się ukryć za podstawionymi osobami, gdy zajdzie potrzeba), kto finansuje gazetę, skoro obecnie w dziesięciu stanach (bez mała jedna czwarta część kraju!) nie ma ani jednego miasta z konkurującymi gazetami, czyli panuje absolutny monopol informowania opinii?

Nie chciałbym, aby czytelnik sądził, że uważamy sprawę braku dwóch gazet w jednym mieście za najważniejszą; cytujemy to dla scharakteryzowania ,jak daleko zaszła monopolizacja prasy. Dziennikarz amerykański Halford Hauser pisze w „Standard Times“:

„Jednopismowy monopol w przeszło 1200 miastach Stanów Zjednoczonych jest najpoważniejszym czynnikiem, zagrażającym wolności prasy“.

A cytowany już przez nas na wstępie Morris L. Ernst stwierdza w swojej książce:

„Naszą demokrację wyjałowiła garstka właścicieli gazet... (str. XIII). Doszedłem ostatnio do wniosku, że więcej się przed nami ukrywa w wyniku skoncentrowania własności środków informacji, niżby to było w wyniku interwencji rządu“. (str. XIV, autor ma niewątpliwie na myśli cenzurę, gdy pisze o „interwencji rządu“- W.B.).

Zacytowane słowa mówią dostatecznie jasno, że nawet w pewnych sferach konserwatywnych Ameryki są ludzie, którzy dostrzegają istnienie monopolu, nie widzą jednakże, bo nie chcą i nie mogą widzieć jego istotnego sensu i skutków, jakie pociąga za sobą dla prasy.

W czyich bowiem rękach jest ten monopol? Amerykańskiego potentata prasowego Williama Randolpha Hearsta oceniano w roku 1935 na ćwierć miliarda dolarów. Składało się na to 28 dzienników, 13 periodyków, własna agencja prasowa (International News Service), 8 radiostacyj, dwie spółki filmowe itd. Drugim potentatem jest skuzynowany z innym magnatem prasowym, Pattersonem, pułkownik Robert Rutherford Mac Cormick, wydawca najbardziej agresywnych, najbardziej reakcyjnych dzienników amerykańskich z „Chicago Daily Tribune“ na czele. Zajmuje on pierwsze miejsce na liście dziesięciu najsławniejszych (czytaj: najbardziej reakcyjnych) obywateli Stanów Zjednoczonych, ułożonej przez arcyreakcjonistę Geralda Smitha (wśród pozostałych są postacie takich hitlerowców amerykańskich, jak ksiądz Coughlin i płk. Lindbergh). Prasa Mac Cormicka wsławiła się szczególnie obroną głównych hitlerowskich przestępców, sądzonych w Norymberdze. Oczywiście — ten obrońca Goeringa też uczy Europę demokracji i wolności słowa.

Moglibyśmy listę nazwisk przedłużyć znacznie, ale nie wniosłoby to nic innego, niż to, co czytelnik znalazł powyżej: prasa amerykańska znajduje się w rękach hearstów, maccormicków, pattersonów, gannettów. To są monopoliści, w których rękach spoczywa wyłączność informowania amerykańskiej opinii publicznej.

Ktoś mógłby zadać pytanie: czy istotnie mamy do czynienia z monopolem informowania, skoro istnieje jeszcze tak potężne narzędzie informacji, jak radio?

Otóż monopolizacja radia jest jeszcze dalej posunięta niż monopolizacja prasy. Stacyj europejskich za Atlantykiem prawie wcale nie słychać. Stany Zjednoczone posiadają ogromną liczbę stacyj radiowych (w roku 1944 było ich czynnych 919). Jednakowoż przeważająca część należy zaledwie do czterech spółek — National Broadcasting Company (NBC), Columbia Broadcasting System (CBS), Mutual Broadcasting System (Mutual) oraz American Broadcasting Company (ABC). Te cztery spółki-giganty posiadają 730 stacyj nadawczych (NBC — 149, CBS — 143, Mutual — 244, ABC — 194, według danych z 1944 roku), to znaczy około 80 proc. stacyj radiowych jest w rękach czterech prywatnych koncernów, powiązanych w dodatku ze sobą przez różne kombinacje bankowe i przez udziały w rozmaitych fabrykach sprzętu radiowego. Tak więc na przykład cała NBC jest własnością olbrzymiego koncernu RCA (Radio Corporation of America), który jest głównym producentem aparatury radiowej i od którego w mniejszym lub większym stopniu zależne są pozostałe koncerny nadawcze.

Cztery wspomniane sieci radiostacyj rozporządzają 95 proc. całego czasu nadawania i słuchania w Stanach Zjednoczonych. Czy to mało wyraźny monopol?

Do tego trzeba dodać jeszcze pewien interesujący szczegół. Mianowicie: na mniej więcej stu „obszarach“ radiowych jedyne lokalne stacje nadawcze są w tych samych rękach, co jedyna lokalna gazeta codzienna! Za dobrych, rooseveltowskich czasów budziło to niepokój i delegowano nawet specjalne komisje, które badały sytuację. Oto, co stwierdza raport takiej komisji („Summary of Record“, F.C.C., dokument 6051, str. 27-28) w sprawie miasta Charleston:

„Do roku 1939 miasto Charleston informowała jedna gazeta poranna i jedna popołudniowa, należące do tego samego właściciela i obsługiwane przez ten sam zespół redakcyjny; istniała też niezależna radiostacja WCSC. Potem założono radiostację WTMA, związaną finansowo z lokalnym wydawnictwem. Zeznania kierownika stacji WTMA ujawniły, że pismo uważało radiostację po prostu za jeden z oddziałów redakcji. Tu i tam pracowali ci sami ludzie, którzy dawali wytyczne polityczne dla gazety i dla radia... Gazeta zgadzała się drukować programy WCSC tylko jako płatne ogłoszenia, podczas gdy programy WTMA drukowano nawet bez księgowania czegokolwiek w buchalterii“.

Dzisiaj zapewne moglibyśmy ujawnić więcej takich, a może bardziej interesujących szczegółów, gdyby tego rodzaju materiały publikowano nadal. Ale nawet to, cośmy powiedzieli, wystarczy niewątpliwie, aby zrozumieć w czyich rękach znajdują się źródła i narzędzia informacji.

Ten system posiada jednak luki. Oto są przecież pewne—nieliczne co prawda — gazety, które nie należą do głównych monopolistów. Jeżeli te gazety będą informowały o wydarzeniach bieżących lepiej, lub choćby tylko inaczej niż prasa zmonopolizowana, to istnieje obawa, że publiczność przerzuci się masowo na czytanie tamtych gazet. Zaradzono więc również i temu. Najwięksi i najbogatsi właściciele gazet w Stanach założyli wspólnie własną, potężną agencję prasową— Associated Press. Dzięki ogromnym nakładom finansowym agencja ta zdołała rozbudować tak szeroką sieć korespondentów, że o konkurowaniu z nią pod względem szybkości i ilości informacji nawet mowy być nie może.

Associated Press ma bardzo interesujący, „dziwny“ statut. Nowych członków (tzn. nowe pisma) przyjmuje tylko na podstawie jednogłośnej uchwały starych udziałowców! Jest ich w tej chwili w Stanach Zjednoczonych około 1250 i kontrolują ni mniej ni więcej tylko 96 proc. dziennego nakładu prasy amerykańskiej! W rezultacie — aby dzisiaj wejść na rynek wydawniczy w Stanach Zjednoczonych i zacząć wydawać nową gazetę z obsługą AP, trzeba tej agencji zapacić „wpisowe“, które w Nowym Jorku wynosi około półtora, a w Chicago około pół miliona dolarów. Dopiero potem można się ubiegać o... jednogłośną zgodę swoich własnych konkurentów! Czy można sobie wyobrazić bardziej idealny wzór kartelu prasowego niż ta organizacja, która na domiar cynizmu i obłudy występuje pod marką „non - profit membership corporation“, czyli instytucji nie obliczonej na zysk? Oczywiście — instrukcje dla korespondentów AP i treść ich depesz uzależnione są od wymagań właścicieli.

Ale „przemysłowcom prasowym“ jeszcze tego za mało. Przecież w gazetach poza serwisem Associated Press będą się ukazywały artykuły wstępne, komentarze redakcyjne itd. Prasa jest przecież w Ameryce „wolna“, więc kto wie, co tam taki komentator czy autor artykułu wstępnego w Ohio czy Massachussets napisze? Wymyślono sposób i na to.

Wszystkich autorów wspomnianego typu materiałów obejmuje się w Stanach Zjednoczonych mianem „columnists“. Otóż poważniejszych, bardziej znanych spośród tych „columnists“ „zsyndykalizowano“, to znaczy kazano im pisać nie dla jednej gazety, tylko od razu dla całych dziesiątków, a nawet setek gazet w różnych miastach. W ten prosty sposób zwiększono ogromnie dochody owych wybranych „columnists“, ograniczając możność przemawiania do czytelnika tych publicystów, którzy nie podobają się wydawcom. W rezultacie około 25 milionów czytelników musi czytać codziennie wstępny artykuł lub komentarz takiego Waltera Winchella, który został napiętnowany publicznie z trybuny Organizacji Narodów Zjednoczonych jako podżegacz wojenny. Słabszy publicysta, Westbrook Pegler, musi się zadowolić zaledwie 10 milionami czytelników dziennie.

Zauważy ktoś ze zgorszeniem, że w ten sposób zmniejsza się liczbę idei docierających do czytelnika? Ależ o to właśnie chodzi! Nie na próżno fachowe czasopismo „Editor and Publisher“ pisze dnia 30 grudnia 1944 roku:

„Zsyndykalizowani kolumniści piszą to, czego pragną ich wydawcy, od których nie mogą odbiec za daleko...“

W tym tkwi sedno rzeczy — monopolizować nie tylko dochody z gazet, ale również samą treść informacji prasowej. W pogoni za tym powstały nawet dalej idące posunięcia centralizacyjne. Stworzono przedsiębiorstwa, które dostarczają mniejszym gazetom prowincjonalnym... matryc gotowych stron gazety, z komentarzami politycznymi, felietonami, powieściami w odcinku, z bzdurą rysunkową („comics“) i z nieodzownymi ogłoszeniami.

„Król matryc“, John Perry, właściciel firmy wydawniczej, wielu gazet i tygodników na Florydzie, licznych radiostacyj tamże, gazet i tygodników w Kentucky, papierni, wydawnictwa itd., itp. — jest także właścicielem WNU - Western Newspaper Union*). Instytucja ta dostarcza gotowych matryc ni mniej ni więcej tylko 9.000 tygodników. Około 3.000 tygodników kupuje od WNU od razu matryce na ośmiostronicowy numer, do którego dodaje kilka stron wiadomości lokalnych i tygodnik jest gotów. Wygodne, prawda? Nie trzeba się troszczyć w redakcji o wiadomości ze świata, nie trzeba sobie głowy zaprzątać wielkimi problemami międzynarodowymi, o tym wszystkim myśli i pisze John Perry i sztab jego najemników. Oczywiście, czytelnik ze stanu Floryda nie porozumie się z czytelnikiem ze stanu Nebraska, aby stwierdzić, że przeczytali ten sam artykuł wstępny w swoich lokalnych tygodniczkach. Każdy z nich sądzi, że to jego miejscowy redaktor jest taki mądry, że potrafi i o Trumanie, i o Mołotowie, i o bombie atomowej, i o planie Marshalla.

Jednakże myliłby się ten, kto by sądził, że poza właścicielem wielkiego koncernu wydawniczego nie ma nikogo, kto może wywierać poważny wpływ na kierunek pisma amerykańskiego lub na programy amerykańskich radiostacyj. Jest jeszcze ktoś za kulisami. Wprawdzie jest to czynnik, który wiąże się szeregiem nici bankowych i przemysłowych z koncernami prasowymi i działa oraz wpływa na prasę w tym samym co one kierunku, ale jest tak potężny, że warto wspomnieć o nim oddzielnie.

Mamy na myśli ogłoszenia. Na pewno niejeden z naszych czytelników miał nieraz dziennik amerykański w ręku i widział, jak wiele miejsca zajmują tam ogłoszenia rozmaitych firm automobilowych, konfekcyjnych, perfumeryjnych itp. Dzieje się tak nie od dzisiaj. James Gordon Bennett, właściciel wielkiego dziennika „N. York Herald“ (z którego powstał znany dzisiaj „New York Herald Tribune“), pisał jeszcze na początku bieżącego stulecia, że „dziennik jest to miejsce na płatne ogłoszenia, obok których mogą być podawane również wiadomości“.

Ta sama zasada obowiązuje w jeszcze większym stopniu w amerykańskich programach radiowych. Różnica polega tylko na tym, że kiedy w gazecie możemy ostatecznie nie czytać ogłoszenia, w radzio amerykańskim nie możemy go nie słuchać. Na porządku dziennym jest uciszanie pięknej muzyki koncertowej po to, aby głośnym, namiętnym szeptem zalecić „Coca Cola“.

Przeciętne pismo amerykańskie zawdzięcza około 65 proc. swego dochodu nie sprzedaży lub prenumeracie ,lecz właśnie ogłoszeniom. Stacje radiowe cały swój dochód czerpią z ogłoszeń.

W artykule specjalnym, poświęconym sprawie ogłoszeń, a zamieszczonym w „Printer‘s Ink“, specjalista z tej dziedziny, dr L. Weld ocenia, że całe Stany Zjednoczone wydają rocznie ponad 3.000.000.000 dolarów na reklamę. Przeważająca część tej sumy znajduje się w rękach kilkunastu biur reklamy, znów powiązanych tysiącznymi nićmi z koncernami wydawniczymi. Tych kilkunastu agentów ogłoszeniowych dysponuje 97% całej sumy ogłoszeń, przeznaczonych dla radiostacyj, i ponad połową wszystkich ogłoszeń, przeznaczonych dla prasy amerykańskiej!

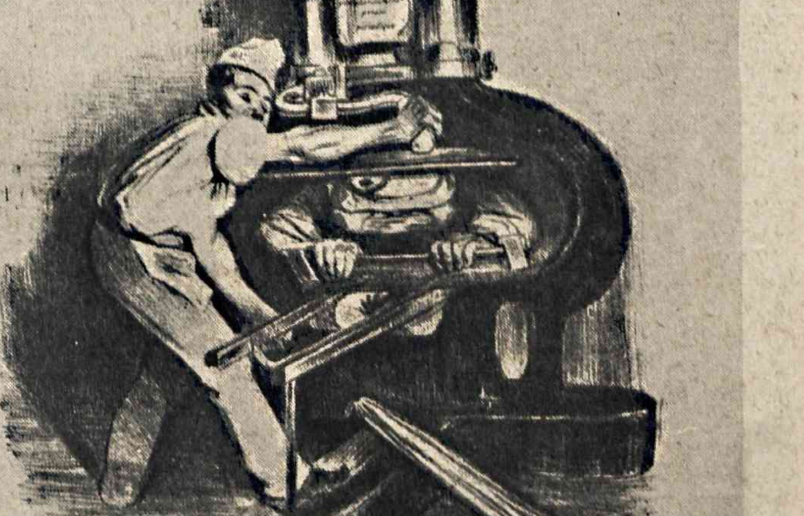
Czy można się dziwić, że tych kilkunastu agentów ogłoszeniowych decyduje o programach radiowych, których musi słuchać przeciętny Amerykanin? Cóż dziwnego, że agent ogłoszeniowy oznajmia dyrekcji radiostacji, że kaloszom, które on reklamuje, „nie wypada“ reklamować się obok takich czy innych komentarzy politycznych? W ten właśnie sposób zostali w ciągu ostatnich powojennych lat wygnani z radia amerykańskiego wszyscy niezależni komentatorzy, z Johannesem Steelem na czele.

Czyż można się dziwić, że prasowy businessman, jeśli ma do wyboru ogłoszenia dajmy na to firmy Macy (największego domu towarowego na świecie) czy zatrudnienie liberalnego publicysty, wybiera bez wahania to pierwsze? Business is business. Strona więc businessu, reprezentowana w sposób tak brutalny przez zagadnienie ogłoszeniowe, jest dodatkowym czynnikiem, pchającym gazety i radio amerykańskie w kierunku tej polityki, która odpowiada wielkim monopolistom finansowym.

I tu przychodzimy do problemu końcowego: jaką to politykę chce widzieć w „swojej“ prasie wielki kapitał amerykański? Bo jak się okazuje, gazety utrzymuje on nie tylko po to, aby z nich czerpać dochody. Nie tylko o to chodzi tym wszystkim hearstom, maccormickom, gannetom i innym.

Oni chcą przemawiać do mas amerykańskich, chcą je urabiać w pewnym określonym kierunku. Dowodem może być cała kariera Hearsta. Gdyby chodziło mu tylko o interes, likwidowałby szybko pisma, które nie są dochodowe. Tymczasem Hearst nigdy tak nie postępował. Znany prawicowy tygodnik „Fortune“ stwierdził kiedyś:

„Gdy jakieś pismo hearstowskie przynosi straty, szef dorzuca zazwyczaj trochę mięsa w postaci gotówki. Może zmienić redaktora, lub wydawcę, zrobić awanturę, ale z placówki nigdy nie rezygnuje, nawet gdyby była beznadziejna, jeśli tylko daje mu możność przemawiania“ (podkreślenie moje — W. B.).



Honoré Daumier

Zachciało ci się kontaktu z prasą

Było to pisane w roku 1935, sytuacja materialna Hearsta pogorszyła się od tego czasu, ale słowa te są wymowną oceną roli, jaką wielki kapitał amerykański wyznacza swojej prasie. Pan Hearst nie tylko pieniądze wysyła do swoich gazet. W r. 1946 rozesłał okólnik do wszystkich swoich redaktorów, nakazując im prowadzenie kampanii przedwyborczej pod hasłami: „głosujcie przeciwko komunizmowi Nowego Ładu, głosujcie za republikanami, głosujcie po amerykańsku“. Pan Frank Gannet jest nie tylko szefem olbrzymiego koncernu wydawniczego; stoi on również na czele „Committee for Constitutional Government“, reakcyjnej organizacji, która zwalczała wszelkie liberalne projekty Roosevelta. Płk. Mac Cormick nie tylko zbiera dywidendy ze swoich przedsiębiorstw prasowych — zwalcza czynnie współpracę narodów zjednoczonych, występuje jako obrońca zbrodniarzy hitlerowskich i podżegacz wojenny.

I znów — analogiczna, a może jeszcze gorsza sytuacja panuje w radio. Nie ma mowy, aby związki robotnicze mogły wydzierżawić antenę nawet za pieniądze. Dopiero niedawno, bo w roku 1944, najpotężniejsza organizacja związków zawodowych, CIO, bynajmniej nie komunistyczna, skarżyła się przed komisją Kongresu, że nie może uzyskać dostępu do anteny, a tam, gdzie go uzyskuje (n. p. stacja WHKC w mieście Columbus) — redakcja radia przeprowadza cenzurę tekstów! Oczywiście najgorzej jest w tych miastach, w których jedyna radiostacja znajduje się w tych samych rękach, co jedyna gazeta. Tam nie tylko cenzurują, ale nawet obcinają wiadomości bieżące, aby zaostrzyć apetyt słuchacza na jutrzejszą gazetę i zarobić na nim podwójnie.

✤

Tak przedstawia się w bardzo ogólnikowym zarysie struktura prasy i radia w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Chętnie chwalą się Amerykanie swoją „wolnością słowa“, tym, że nie ma u nich cenzury prasy ani radia, ale przemilczają fakty, które mówią aż nadto wyraźnie, że swoista cenzura stosowana u nich jest chyba najostrzejsza i najsprawniejsza ze wszystkich cenzur na świecie. To prawda, że oficjalnie nie prowadzi jej państwo, ale prowadzą ją za nie prywatni właściciele gazet, wyzbyci skrupułów, gdy idzie o ich zyski i o ich politykę.

To oni „informują“ naród amerykański, to oni nakładają mu knebel na usta sprawniej, niżby to uczynił departament stanu czy ministerstwo spraw wewnętrznych. To oni „syndykalizują“ i rozpowszechniają idee reakcyjne, to oni matrycują gazety i usiłują matrycować umysły amerykańskie.

Dla kogoż więc istnieje w Ameryce ta okrzyczana „wolność słowa“? Odpowiada na to pytanie publicysta amerykański, George Marion, który jeszcze niedawno pracował w nowojorskim „Daily Mirror“, a obecnie napisał książkę

(Dok. na stronie czwartej)

---

* *(Ayer‘s Directory of Newspapers and Magazines).*

*) Dane o WNU zaczerpnąłem z książki Ernesta, wspomnianej uprzednio.

ADOLF SOWIŃSKI

WARSZAWA — 1843

„Mówić prawdę, jest to najwspanialszy czyn miłości“.

(Pascal w tłum. ks. Ściegiennego)

Do czasów ks. Ściegiennego historia polskich ruchów ludowych nie wykazuje znamion masowości. Zdarzają się odosobnione wypadki podpaleń dworu, ucieczki poddanych chłopów, morderstw na dziedzicach i buntów jednej lub kilku wsi, ale wszystkie te wypadki mają z zasady charakter zemsty lokalnej lub też doraźnej reakcji na wydarzenia, pozbawionej cech ideologii. Co prawda i ściegieńszczyzna nie stała się ruchem masowym, ale ona pierwsza miała wszelkie dane po temu, aby się nim stać, ona pierwsza była właśnie ruchem ideologicznym i gdyby nie nastąpiło przedwczesne rozbicie spisku, stałaby się niewątpliwie świadomym ruchem chłopstwa polskiego, zdolnym polski patriotyzm i dążności niepodległościowe swoich czasów pchnąć na nowe tory. Ci, którzy stali z dala od interesów szlachty folwarcznej, a którym droga była polityczna niepodległość Polski, bo w swobodach narodowych dostrzegali jeden z kardynalnych warunków uznania w człowieku jego ludzkiej godności i uszanowania jego odmienności, chociażby elementy tej odmienności były kamieniem obrazy dla narodu silniejszego, głosili jawnie i wyraźnie, że poza demokracją odzyskanie przez Polskę niepodległości jest nie do pomyślenia. Podstawą zaś ówczesnej demokracji polskiej była kwestia włościańska, najbardziej niecierpiąca zwłoki i najbardziej kompromitująca przeszłość Polski niepodległej jako zachowanie swego rodzaju niewolnictwa w kraju, szczycącym się złotą wolnością innego stanu. Kwestia włościańska rzucała ponury cień przemocy stanowej nawet na tak wielką skądinąd i uchodzącą za akt kardynalnej naprawy Rzeczypospolitej Konstytucję Trzeciego Maja, która dobrze pamiętała o wydaniu katolikom zakazu przechodzenia na inne wyznania, a w stosunku do najliczniejszej warstwy narodu, jaką stanowili chłopi, poprzestawała na lakonicznym i pustym frazesie, że bierze ich pod opiekę prawa, nie troszcząc się wcale o określenie, co dla nich to prawo ma oznaczać.

W r. 1834 poeta Seweryn Goszczyński, uczestnik napadu na Belweder podczas pamiętnej nocy listopadowej, zakłada w Krakowie przy współudziale demokratycznie nastawionych patriotów „Stowarzyszenie Ludu Polskiego“, dla którego rozwiązanie kwestii włościańskiej stało się naczelnym zadaniem społecznym. Do kręgu ludzi tego stowarzyszenia należał między innymi Gustaw Ehrenberg, przez lat dwadzieścia znoszący później zesłanie na Sybirze, zapomniany z nazwiska jako poeta, ale nie zapomniany w słowach bojowej pieśni proletariatu polskiego, jego bowiem autorstwa jest słynny i sięgający aż tamtych czasów śpiew rewolucyjny: „O cześć wam, panowie magnaci, za naszą niewolę, kajdany“. Do kręgu ludzi tego stowarzyszenia należał jednak przede wszystkim Szymon Konarski, niezmordowany i płomienny działacz konspiracyjny na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, długo nieuchwytny dla żandarmów carskich, aż wreszcie ujęty i stracony w r. 1839 na Pohulance w Wilnie.

Seweryn Goszczyński, który działał na terenie zaboru austriackiego, zdołał ujść początkowo w góry, a później za granicę, gdy policja cesarska wpadła na trop spisku i rozpoczęła serię masowych aresztowań, zapełniając słynne więzienie w Kufsteinie. Już za granicą, jako członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, zajmował się Goszczyński wielokrotnie moralnymi podstawami sprawy polskiej i nie dostrzegał realnych możliwości jej załatwienia li tylko z bronią w ręku. „Niepodległość bez warunków, które by ją charakteryzowały — pisał — ...jest to tylko abstrakcja, przypuszczenie“.

Tak zwana demokracja szlachecka nadająca zasadniczy ton Towarzystwu Demokratycznemu, najbardziej podówczas wpływowemu i najlepiej zorganizowanemu ugrupowaniu lewicy społecznej, była jednak mimo wszystko skłonna rozpoczynać od gwiazd i ołtarzy, od „czarodziejskiego dla wszystkich imienia Ojczyzny“, a kończyć dopiero na człowieku. Dawało to rzeczywistą podstawę członkom „Ludu Polskiego“ z Portsmouth do mówienia o dwóch ojczyznach: szlacheckiej i ludowej.

Ks. Ściegienny zetknął się drastycznie raz jeszcze z tym zagadnieniem, gdy w pełnym rozkwicie maja 1843 r. zjechał do Warszawy, aby zaczerpnąć szerzej powietrza spiskowego i rozbudować swoje kontakty z inteligencją lewicową. Policja carska węszyła już wtedy czujnie wkoło „Związku Narodu Polskiego“, a zresztą książę warszawski, feldmarszałek Paskiewicz, zacisnął pętlę policyjną wokoło całego Królestwa.

Warszawa, do której przyjechał ks. Ściegienny, wykazywała w porównaniu ze swym przedpowstaniowym okresem wszelkie cechy miasta ideologicznie i kulturalnie podupadłego. Nie było uniwersytetu, bo ten skasowano po upadku Powstania Listopadowego, oddając jego zbiory uniwersytetowi w Kijowie. Działały w tym czasie jedynie kursy prawnicze i czynna była wyższa szkoła rolnicza na Marymoncie, albowiem rząd carski dążył do skierowania młodzieży wyłącznie na tory zawodów praktycznych, pewny, że brak oświaty humanistycznej oddali ją od jakichkolwiek usiłowań ideowych. Nie istniało już od dawna Towarzystwo Przyjaciół Nauk, skonfiskowano biblioteki i zbiory muzealne, nie wolno było nawet wymieniać w druku takich nazwisk, jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Lelewel. Paskiewicz był doskonałym wyrazicielem postawy, jaką zajął sam car Mikołaj I, gdy podczas pobytu w Warszawie w r. 1835 nie dopuścił do głosu pragnącej mu przedstawić swe prośby deputacji Polaków i rzekł z irytacją: „Nie mówcie nic, bo wiem, że co powiecie, będzie kłamstwem. Wzniosłem tu cytadelę i zapowiadam, że w razie najmniejszego zaburzenia każę miasto bombardować. Zburzę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję“.

A jednak Warszawa ówczesna umiała bawić się i balować. Czyniła to nawet z tym większą beztroską, im bardziej stygł zapał dla spraw narodowych. Stał już gotowy na obecnym Placu Teatralnym gmach Opery, gdzie odbywały się główne widowiska i reduty, ukończono w r. 1840 Nowy Zjazd ku Wiśle przy Zamku Królewskim, gdzie na przyjęciach u księcia-namiestnika gromadzili się nie tylko pochlebcy i renegaci, ale całe najwytworniejsze towarzystwo ówczesnej stolicy Królestwa Polskiego, nie wyłączając rodzin o nazwiskach historycznych. Ukończono już i oddano do użytku pierwszy odcinek wiedeńskiej drogi żelaznej od Warszawy do Pruszkowa, a tym szlakiem zmierzały w pogodne dni tłumy warszawian na zabawy ogrodowe i burzliwe wilegiatury pod znakiem Bachusa i Amora. Prasa codzienna, reprezentowana przez „Gazetę Warszawską“, „Kurier Warszawski“ i „Gazetę Codzienną“ donosiła szczodrze o zabawach wielkoświatowych na równi z wydarzeniami polityki międzynarodowej. „Rozochocone pożycie towarzystwa zamkowego — notuje groźne memento dla tych czasów Fryderyk hr. Skarbek w swych „Pamiętnikach“ — i obojętność mieszkańców Warszawy na sprawy krajowe przerwały wypadki r. 1846 (krakowska rewolucja Dembowskiego, przyp aut.), które bądź to surowymi rozporządzeniami władzy, bądź to dotkliwymi wrażeniami kar, na przestępców politycznych wymierzanych, obudziły publiczność z jej apatycznego odrętwienia politycznego. Pierwszym wypadkiem, który zajął tę publiczność, była sprawa ks. Ściegiennego, jeszcze r. 1844 sięgająca“.

Teraz dzieli nas od niej jeszcze półtora roku, a że nawet biblijna Sodoma miała swych sprawiedliwych, tym niemniej miała ich i rozbalowana Warszawa lat czterdziestych ubiegłego stulecia, już poczynająca narastać klasą bogatego mieszczaństwa, przynoszącego z dworów szlacheckich, z których w przeważnej mierze się rekrutowała, poglądy i obyczaje feudalne. Sprawiedliwymi byli choćby „entuzjaści i entuzjastki“, grupujący się wokoło „Przeglądu Naukowego“, założonego w r. 1842 przez Edwarda Dembowskiego i Hipolita Skimborowicza. Był to organ młodzieży postępowej, do której oprócz wymienionych już założycieli „Przeglądu“ należeli Roman Zmorski, Henryk Kamieński i Narcyza Żmichowska, która we „Wstępnym obrazku“ do swej „Poganki“ scharakteryzowała nastroje całego grona. Wychodziła ponadto „Biblioteka Warszawska“, miesięcznik bardzo umiarkowanie postępowy, poza którym ówczesne czasopiśmiennictwo warszawskie, a tym samym całego Królestwa nie wykazuje już więcej pozycji godnych uwagi.

Środowiskiem, nadającym codzienny i charakterystyczny ton życiu kulturalnemu, była tak zwana „cyganeria warszawska“, wyżywająca się w naiwnej i pozbawionej gruntu ideologicznego negacji obyczajowej przeciw salonowości i snobistycznym konwenansom towarzyskim bogatych filistrów, tak bowiem podówczas nazywano późniejszego burżuja. Paulina z Lauczów Wilkońska, żona autora głośnych swego czasu „Ramot i ramotek literackich“, Augusta Wilkońskiego, w której domu zbierali się „cyganie“, może służyć za przykład ówczesnej inteligencji polskiej, dla której ideologia sprowadzała się do górnych uczuć narodowych bez konkretnej treści, bo notując w „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskim w Warszawie“ wrażenia z procesu ks. Ściegiennego, potrafi zdobyć się jedynie na parę następujących frazesów: „W tym czasie przypadła straszna sprawa księdza Ściegiennego, która nader bolesne wywołała przerażenie i wiele rodzin w ciężki pogrążyła smutek. Mówił mi jeden ze znajomych, który wyznanie wiary tego kapłana wobec sądu komisji śledczej złożone czytał... że nigdy nic podobnie wzniosłego nie zaznał. Sprawa ta na kilkanaście lat gorzkie za sobą pociągnęła następstwa“.

Ks. Ściegienny przyjechał tymczasem do Warszawy nie dla szerzenia wzniosłych poglądów, chociaż w swych książeczkach dostrzegał „te niezliczone, unoszące się nad twoją głową świecące ciała, które gwiazdami nazywamy“ i te chwile „kiedy trawy i kwiaty polne piękną Bóg odziewa barwą“, ale dla opracowania z ludźmi dobrej woli konkretnych planów powstańczych, bo z gwiazd, na które jako człowiek ewangelicznie religijny lubił patrzeć, wyciągnął li tylko tę niesentymentalną naukę, że „wolą Boga jest, aby każde stworzenie pracowało na utrzymanie swoje i było szczęśliwe“ i to „nie tylko w życiu przyszłym, ale i teraźniejszym, doczesnym“. Szukał więc dalszych kontaktów z członkami „Związku Narodu Polskiego“, wśród których był już znany dzięki współpracy z Celsem Lewickim na terenie Lublina, gdzie mieścił się drugi po Warszawie ośrodek centralny tej mało jeszcze do tej pory zbadanej organizacji podziemnej.

Wiemy w każdym razie tyle, że kilku członków „Stowarzyszenia Ludu Polskiego“, wśród których był wspomniany już poeta Gustaw Ehrenberg, przeniosło się z Krakowa do Warszawy, gdzie dali początek organizacji “świętokrzyżców“, tak nazwanej od punktu zbornego spiskowców w domu św. Krzyża, gdzie mieszkał jeden ze związkowych, Aleksander Krajewski. Z resztek rozbitych i zlikwidowanych przez policję carską „świętokrzyżców“ organizuje się w r. 1839 „Związek Narodu Polskiego“, zmierzający już wyraźnie do szybkiej organizacji wybuchu zbrojnego bez oglądania się na zbyt powolną akcję Towarzystwa Demokratycznego, które w tym czasie nawiązało już kontakty z krajem i z okresu przygotowań ideologicznych przeszło do czynnej akcji propagandowej, mającej jednak zakończyć się aktem zbrojnym dopiero wtedy, gdy Centralizacja uzna, że sprawa w kraju do tego dojrzała. Spiskowcy ze „Związku Narodu Polskiego“ wyznaczyli już nawet termin wybuchu powstania na wiosnę r. 1844, w tym bowiem czasie spodziewano się przyjazdu do Warszawy cara Mikołaja I, którego ujęcie miałoby doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków. Te śmiałe plany rozbiły się o nieostrożność któregoś ze spiskowców, na skutek czego sprzysiężenie odkryto jesienią r. 1843; nastąpiły aresztowania, których ofiarą padł między innymi Cels Lewicki w Lublinie, natomiast czołowi działacze w osobach Edwarda Dembowskiego i Henryka Kamieńskiego zdołali zbiec za granicę do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, gdzie panował podówczas w stosunku do Polaków kurs nieco liberalniejszy.

Ideologię „Związku Narodu Polskiego“ znamy jedynie z wypowiedzi publicystycznych jego czołowych działaczy, a że te dalekie są od jednolitości, przeto należy przypuszczać, że i sam program ideologiczny sprzysiężenia cech jednolitości nie wykazywał, łącząc spiskowców ogólnym nastrojem powstańczym, tam, gdzie by ich mogły dzielić poglądy społeczne. Poglądy te zaś rozpadały się na dwa główne odłamy: plebejski i liberalistyczny. Kierunek plebejski, czyli socjalistyczny, jak byśmy to dziś wyraźniej nazwali, reprezentował młodziutki Edward Dembowski, płomienny trybun ludowy, gwałtownie i bez najmniejszego kompromisu potępiający wszelkie przywileje społeczne, chociaż sam pochodził z kasztelańskiego rodu i posiadał niemałą fortunę, którą potrafił wzgardzić. I on stał na stanowisku niepodległościowym, ale dążenie Polski do niepodległości politycznej było dlań uzasadnione jedynie jako ruch masowy ludu, wyzwalającego się spod wszelkich rodzajów gniotącej go przemocy. Temu stanowisku, tak bliskiemu poglądom ks. Ściegiennego, pozostał Dembowski wierny do końca swego wspaniałego choć krótkiego żywota, albowiem po bujnej i otoczonej legendą działalności emisariusza Towarzystwa Demokratycznego w Poznańskiem i Krakowskiem zginął jako zaledwie 24-letni młodzieniec w lutym r. 1846 od kul austriackich, gdy na Podgórzu w Krakowie szedł z krzyżem w ręku i w chłopskiej sukmanie na czele procesji powstańczego ludu.

Rozważając sprawę rozwoju i naprawy społeczeństw zbija Dembowski religijne marzenia, że postęp społeczny może dokonywać się na drodze moralnego doskonalenia się jednostek, chociażby otaczający je system społeczny był zły, uważa natomiast, że „tylko postępy ludowe są prawdziwymi postępami“. „Już wiek XVIII — pisze dalej — ten mało znany, zasłużony a potępiony wiek, zanucił requiem nad średniowiecznością, a z pierwszej strzały rewolucji francuskiej wybiła na zegarze czasów północ dla skrępowań i kajdan feudalnego świata, jakże więc dziś w wieku XIX, dziś w r. 1843 mówić jeszcze ...niech każdy będzie cnotliwym, a świat lepszym się stanie, niech każdy stara się być dobrym itp. ...dziś nie czas na to, dziś na całe już ludy wołajmy: „Zbudźcie się ze snu, zmartwychwstańcie“. Nie żądamy przeto poświęcenia indywidualnego i wszystkiego dla dobra ludzkości, bo to samo z siebie nastąpić musi, skoro podobne poświęcenie, czyli miłość w czynie ludowi się pojawi, żądamy, aby ludy miłość ku sobie przez czyn wyjawiły“.

Dembowski, którego tyrady są jak gdyby inteligenckim wykładem zawartych w „Złotej książeczce“ nawoływań ks. Ściegiennego do solidarności wewnętrznej i międzynarodowej mas rewolucyjnych, co ich zbliża obydwu do haseł socjalizmu naukowego, nie był dobrze widziany ani przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego, ani tym bardziej przez szlacheckie sfery niepodległościowców we wszystkich trzech zaborach, na terenie których działał. Uważano go powszechnie za człowieka rzadkiej co prawda szlachetności, ale zarazem za niedoważonego demagoga o jałowych zapędach starożytnego Herostratesa, który potrafił podpalić zaliczaną do siedmiu cudów świata świątynię Diany w Efezie, byleby tylko uzyskać nieśmiertelną sławę. Takie właśnie świadectwo daje Dembowskiemu Ludwik Mierosławski, sam rewolucjonista ściśle podporządkowany Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, a zarazem historyk wielu powstań, w których przypadło mu odegrać wybitną rolę.

Ta niechętna postawa ówczesnych niepodległościowców polskich w stosunku do Dembowskiego i jego poglądów plebejskich wskazuje na to, że wśród nich przeważał kierunek liberalistyczny, reprezentowany w kołach „Związku Narodu Polskiego“ przede wszystkim przez Henryka Kamieńskiego, który pisywał pod pseudonimem Filaret Prawdoski. Na równi ze wszystkimi światlejszymi umysłami swej epoki, a zwłaszcza w oparciu o działaczy Towarzystwa Demokratycznego, których „ojcami polskiej sprawy“ nazywa, uznaje Kamieński konieczność uwłaszczenia chłopów, ale wzbrania się stanąć na stanowisku klasowym, skłonny jest bowiem zakładać możliwość postępu społecznego bez walki. Posuwa się nawet o wiele dalej, bo użytkowanie człowieka przez człowieka uważa za rzecz konieczną, mogącą podlegać li tylko złagodzeniom i postępowym przekształceniom. „Zewnętrzna potrójna przemoc, która nas ciśnie — powiada bowiem Kamieński — wszystkim Polakom nadaje przede wszystkim jeden główny i wspólny interes wyswobodzenia, i tym właśnie w najściślejszą jedność spoić dąży wszystkie klasy narodu. Na mocy tej jedności rewolucja społeczna, która jedynie może nam dać siły do stargania obcego jarzma, rewolucja społeczna odbyć się musi wśród powszechnej narodowej jedności. Nie będzie nosić postaci wojny domowej, ani się krwią polską zbroczy, ale nastąpi od razu ogólną i braterską całego narodu zgodą“.

Wielką potrzebą jest powtórzenie w tym miejscu wypowiedzianego już powyżej zdania, że sama szlachetność nie wystarcza, aby popierana przez nią sprawa była słuszna. Należy jeszcze ponadto spojrzeć prawdzie w oczy, chociażby to była prawda groźna i wymagająca posunięć drakońskich. Jeżeli Kamieński wraz z olbrzymią większością ówczesnych niepodległościowców, w swym szlachetnym oburzeniu na ucisk zewnętrzny żądał zjednoczenia się wszystkich klas dla pokonania potrójnej przemocy państw zaborczych, to zamykał tym samym oczy na prawdę, która w historii niedawnego Powstania Listopadowego wykazywała, że poniewierany i wyzyskiwany chłop nie jest bynajmniej czuły na „czarodziejskie dla wszystkich imię Ojczyzny“, bo w jego instynktach tkwią wyobrażenia o ojczyźnie innej niż czarodziejska. Tą drogą nie mogły zjawić się ani dla Polski, ani dla chłopa jakiekolwiek korzyści. Jeżeli dalej Kamieński wierzył, że rewolucja „nastąpi od razu ogólną i braterską całego narodu zgodą“, to szkoda, że z tym przekonaniem nie występował wobec chłopa, bo już po kilku rozmowach z jakimś Brzozą czy Papusią stwierdziłby (gdyby to były rozmowy szczere, a nie na ganku dworskim wśród obłapywania za kolana), że jedność narodu polskiego jest czarodziejską iluzją, dopóki nie dokonają się zasadnicze reformy ekonomiczne na rzecz chłopa. Niepodległości za swój cel chłop nie uważał, uważał zań natomiast zdobycie ziemi.

W rozmowach, które toczył z ludźmi w Warszawie, ks. Ściegienny poruszał niewątpliwie te sprawy i przekonywał wszystkich, że szlachta folwarczna mogłaby wydatnie złagodzić byt chłopa pomimo panowania carskiego, gdyby jej rzeczywiście o to chodziło. Przytaczał osoby owych „dobrych panów“ z Lubelszczyzny, należących prawdopodobnie do grona jego zwolenników z drobnej szlachty okolicznej, a zgłaszających petycje do rządu o zezwolenie na indywidualne zniesienie pańszczyzny w swych majątkach. Rząd co prawda na to nie zezwolił, bo rząd carski, do którego garną się na wyższe urzędy wszyscy magnaci polscy, jest rządem panów, jest więc złoconym kijem tego samego wroga, który na wsi używa kija brzozowego, ale byt chłopa u tych nielicznych „dobrych panów“ i tak uległ poprawie, bo z szeregu danin i daremszczyzn można nie robić użytku bez zgody i wiedzy cara. Jednakże ci, którzy marzą teraz o niepodległości i potrzebują do tego sił chłopskich mają swoje własne cele i ani myślą o podzieleniu się w przyszłości władzą z chłopami. Są zepsuci jako stan, należy więc obrócić oręż przede wszystkim przeciwko nim, a pokonanie cara będzie już wtedy tylko połamaniem czarnych orłów.

W Warszawie uśmiechano się na te wywody, które uważano za uproszczenie człowieka wielkiej wiary i starano się jak najmniej z nim dyskutować, bo wobec bliskiego terminu, jaki wyznaczono na wybuch zbrojny, nastrój powstańczy był silniejszą więzią niż ideologie. W poglądach ks. Ściegiennego spostrzegano przede wszystkim głębokie współczucie poety ewangelicznego dla uciśnionych, co usprawiedliwiało jego sięgającą częstokroć rozmiarów nienawiści pogardę dla szlachty, jak gdyby przeklinał bezpłodne drzewo figowe pod judejską Betanią. Był cenny jako ksiądz mający wpływ na chłopów i w ten sposób mobilizujący owe słynne niewyzyskane siły. To wystarczało.

Przypuszczalnie wikary z Wilkołazu nie został dopuszczony do najważniejszych postaci „Związku Narodu Polskiego“ jak Kamieński i Dembowski, nie zdradzono przed nim również zasadniczych tajemnic konspiracyjnych, aby nie wydawać ich na łup przypadku, gdyby ksiądz, którego działalność przybierała tu i ówdzie charakter jawnej agitacji z ambony, został przedwcześnie aresztowany. Dopuszczony do niektórych kontaktów zetknął się na szerszej płaszczyźnie raczej z kołem „entuzjastów“, którzy stanowili legalny ośrodek propagandowy „Związku Narodu Polskiego“. Bywał na zebraniach u Pauliny Wilkońskiej, gdzie mógł poznać nastroje ideologiczne spiskowców i wyrazić swoje w tej mierze wątpliwości, przeczytał zapewne szereg numerów „Przeglądu Naukowego“, z których przemawiała potężna indywidualność Dembowskiego, umiejącego niedolę chłopa przedstawiać niemal słowami Lamennais'go, widział poza tym grozę krążących konno po mieście kozaków i słuchał nie kończących się opowieści o męczeństwach za murami cytadeli, gdzie niedawno przywódca spisku uczniowskiego z Łukowa, Karol Levittoux, przetrzymawszy tysiące pałek, z obawy, że następnych już nawet setek nie przetrzyma i wyda sprzysiężonych, podpalił łóżko w swej celi i zginął na nim w płomieniach. Od tego czasu skasowano oświetlanie cel i z zapadnięciem zmierzchu więźniowie siedzieli zupełnie po ciemku w tym wilgotnym i ponurym królestwie oberpolicmajstra Ignacego Abramowicza, renegata i „doskonałego szpiega“, jak go nazywają historycy.

Ale ulicami Warszawy cwałowały nie tylko siejące postrach szwadrony kozaków. Przetaczały się nimi jeszcze karety i otwarte pojazdy z wesołymi ludźmi, dla których cytadela nie przedstawiała żadnych niebezpieczeństw, bo nie zamierzali występować ani w obronie Polski, ani w obronie chłopa. Cytadelę widywali niekiedy jako gniazda ciemnoczerwonych i murawą uwieńczonych murów, gdy w pogodne przedpołudnia jeździli wśród rzeźwych powiewów na spacer do Lasku Bielańskiego, a pan policmajster Abramowicz troszczył się o wystawienie dla nich „Niemej z Portici“ lub „Fra Diavolo“ francuskiego kompozytora Daniela Franciszka Aubera, gdyż był jednocześnie prezesem dyrekcji teatrów warszawskich. Należeli do owego rozochoconego i obojętnego na sprawy krajowe towarzystwa, któremu zabawę przerwał—jak powiedział nam już Skarbek — najpierw czyn ks. Ściegiennego, a potem rok 1846, gdy widmo Jakuba Szeli rzuciło na szlachtę większy postrach, niż zdołali to kiedykolwiek uczynić wszyscy trzej zaborcy jednocześnie.

Wiejski wikary doznawał w tym środowisku uczuć nader bolesnych, widząc w całej rozciągłości i niejako w poglądowym zgęszczeniu, kto panuje nad ludem. Ci ludzie są w gruncie rzeczy nieoświeceni, chociaż mówią obcymi językami i znają rozmaite sztuki umysłowe, bo na wzór starożytnych pogan są przekonani, że im Bóg pariasów i helotów stworzył umyślnie po to, aby mogli nad nimi panować. Ci ludzie są nieoświeceni, bo nie posiadają ludzkich uczuć, a „oświeconym może być tylko człowiek mający uczucie“. Ci ludzie „jedną ręką rabują, obdzierają, w niewolnictwie bliźnich trzymają, a drugą ze zdzierstw zebrany majątek na zbytkach trwonią, na gry, na bankiety i rozpusty rzucają“. Takie właśnie należy mieć o nich mniemanie, ale opinia publiczna jest u nas jeszcze instytucją za mało rozwiniętą, ażeby zdzierców i nierobów przez powszechne potępienie wyrzucać poza nawias społeczeństwa, jak wśród pierwszych chrześcijan czyniła to klątwa kościelna, zanim nie uległa wynaturzeniu i zanim nie zaczęła służyć interesom politycznym czy prywatnym.

Mówiąc o tych sprawach w „Aforyzmach czyli Rzuconych myślach“, ks. Ściegienny brak wyrobionej opinii publicznej uważa za jedną z najważniejszych przyczyn powstawania wad społecznych. „Do tego przyczynia się jeszcze przekonanie — pisze ponadto z niezwykłą śmiałością — że o ludziach złego życia nawet po śmierci źle mówić nie należy, według przysłowia: De mortuis aut bene aut nihil tj. o umarłych nie godzi się źle mówić. Nie lękają się zbrodniarze; nie dosięgnie ich nawet po śmierci hańba ani niesława za życie niemoralne, zbrodnicze, za krzywdy bliźnim wyrządzane, za zgorszenia w Ludzkości rozsiewane, za zdrady, zdzierstwa i morderstwa, tym pewniej jeżeli byli możni, bogaci, dostojeństwy zaszczyceni, orderami obwieszeni panowie“.

Adolf Sowiński

Mity amerykańskie

(Dokończenie ze strony trzeciej)

(Dokończenie ze strony trzeciej)

„Wolna prasa“ („New Century Publisher“, New York, 1946). Konkluduje on wprost:

„Prasa amerykańska jest wolna — dla milionerów!“

Wykpiwa też bezlitośnie tych, którzy bełkoczą o „wolności słowa“ i powołują się na to, że „każdemu obywatelowi w Ameryce wolno wydawać gazetę, jeśli sobie tego życzy“:

„Prawo jest sprawiedliwe i jednakowe dla wszystkich. Zabrania spać na ławce w parku zarówno bezrobotnemu, jak milionerowi. Głosi też ono dla wszystkich jednakowo możność zakupienia lub zbudowania ogromnego przedsiębiorstwa, które zwie się gazetą“.

To nie przypadek, że gazety nie są w rękach organizacyj społecznych lub zawodowych, które miałyby narodowi amerykańskiemu coś pożytecznego do powiedzenia. To nie przypadek, że gazety są w rękach Hearsta i jemu podobnych reakcjonistów. To nie przypadek, że kiedy Hitler doszedł do władzy, nie musiał szukać Hearsta — amerykański „król gazetowy“ sam do niego pojechał i oddał na usługi Goebbelsa całą swoją potężną machinę oddziaływania na czytelnika amerykańskiego. Nie jest też przypadkiem, że ogromna część prasy amerykańskiej dzisiaj występuje za podziałem świata na dwa bloki, głosi i wychwala dyplomację dolarową, szczuje przeciwko każdemu przejawowi wolnej myśli.

Trzeba naprawdę mieć dużo naiwności i pewności siebie, żeby to wszystko próbować nam przedstawić jako demokrację, jako wolność słowa.

Nie jesteśmy zaślepieni w nienawiści do wszystkiego co amerykańskie. Przeciwnie, nasz stosunek nawet do prasy amerykańskiej nacechowany jest najdalej posuniętym obiektywizmem.

Wiemy dobrze, że był okres w XIX stuleciu, kiedy prasa amerykańska odgrywała doprawdy pozytywną rolę, zarówno w walce o zniesienie niewolnictwa, jak o demokratyczny rozwój rolnictwa amerykańskiego i w szeregu innych zagadnień. Ale w tym okresie prasa amerykańska była naprawdę odbiciem opinii publicznej. Był to okres, kiedy Marx i Engels uważali za możliwe pisywanie do „New York Daily Tribune“ (1851 — 1862). Niestety, okres ten minął. Już na początku ubiegłego stulecia wielki demokrata amerykański, prezydent Thomas Jefferson, żalił się na kłamliwość i rozwydrzenie niektórych gazet, a przecież okres Jeffersona wydaje się idyllą w porównaniu ze stanem dzisiejszym.

W ponurym obrazie dzisiejszej prasy amerykańskiej jest tylko jedna jasna plama — amerykański czytelnik. Ten szary czytelnik, który już nieraz dowiódł, że nie łatwo go „zmatrycować“, jakby tego chcieli „przemysłowcy prasowi“. Mimo że cała niemal (95 proc.) prasa wielkich miast amerykańskich popierała we wszystkich wyborach po 1932 roku przeciwników Roosevelta, zawsze wychodził on z wyborów zwycięsko. Tygodnik „In fact“ podaje, że w samym New Yorku w wyborach 1944 roku Roosevelta popierały pisma o łącznym nakładzie zaledwie 327 000 egzemplarzy, podczas gdy Deweya popierały pisma o nakładzie wspólnym 4 835 000 egzemplarzy. Nawet organ wydawców, „Editor and Publisher“ przyznał, że w skali ogólnokrajowej Roosevelta poparło tylko 17 proc. ogólnego nakładu gazet. A jednak został wybrany.

O czym to mówi? Mówi o tym, że czytelnik amerykański kupuje, co mu sprzedają, bo z prasą w Ameryce jest prawie jak u nas z zapałkami — nie ma wyboru, lecz to nie oznacza, że wierzy on w to, co czyta.

Ale tu już wchodzimy na teren zagadnienia prawdomówności prasy amerykańskiej, a to zasługuje na oddzielne omówienie.

Wojciech Bylina

Teatr Teatr Film • Teatr Teatr Film • Teatr Teatr Film

TADEUSZ BREZA

Detronizacja Marii Stuart

W Warszawie powstał nowy teatr, jeszcze jeden przybytek Melpomeny. Od przybytku głowa nie boli, mówi przysłowie, więc brawo. Zwłaszcza nie boli nas, recenzentów, których nieraz przez całe tygodnie swędzi pióro, by napisać o nowym, ciekawym spektaklu, a tu tymczasem na wszystkich scenach sztuki idą miesiącami. Niemniej sama kwestia cudownego rozmnażania się teatrów w stolicy ma swoją ciemną stronę. Bo nie rozmnażają się one z nadmiaru sił aktorskich i reżyserskich, ale z wielu przyczyn działających odśrodkowo, rozrzedzających poszczególne zespoły, wskutek czego w pełni sezonu zrodzony teatr może zgromadzić pod swoim dachem wyborne i głośne talenty, a inne przybytki, pracujące nie od dziś, muszą łatać spektakle lichutkimi siłami. Nas więc, widzów - narkomanów teatru, i nas, recenzentów, głowa o ten nowy przybytek nie boli. Ale departament teatralny w ministerstwie kultury i sztuki chyba zaboleć powinna.

Teatr nazwał się „Klasycznym", prowadzi go p. Maria Gorczyńska, wielka gwiazda naszej sceny, oraz Michał Rusinek, nie mniejszej wielkości gwiazda naszej literatury, a do niedawna dyrektor wspomnianego departamentu teatrów. Nowy teatr mieści się przy ulicy Mokotowskiej, pod bokiem kościoła Zbawiciela, w sali parafialnej tegoż kościoła. Na pierwszy ogień obrał sobie „Marię Stuart" Słowackiego. Z kolei ma zapoznać Warszawę z tak miłym Krakowowi „Rozdrożem miłości" Jerzego Zawieyskiego, którego żadnej ze sztuk powojennych nie zna Warszawa. Konfrontacja naszego mistyka, naszego nowego Anhellego, z naszą stołeczną, nową publicznością, jeszcze bardziej wycwanioną niż przedwojenna, może wypaść interesująco.

„Zachodzi pytanie, czy po takich kataklizmach celowe jest wznawianie na scenie tragedii, czy w ogóle siła jej oddziaływania, jako rodzaju literackiego czasowo nie zmalała" — na temat „Marii Stuart" zastanawia się Rusinek w szkicu, którym zaopatrzył program swego teatru. I rozstrzyga zagadnienie na korzyść aktualności sztuki, uprzytamniając sobie jej pierwiastki, zdolne przemówić do dzisiejszego widza, pierwiastki moralne i pierwiastki polityczne — „wychowawczo działające, uczące praw etycznych, odsłaniające przed widzem ciemne wieki władzy monarchicznej". — „Gdzież bowiem — zapytuje — rozgrywają się te wypadki, intrygi, knowania, akty trucicielskie, a nawet (jakże dzisiejszemu widzowi bliskie) wysadzenie zamku w powietrze w celu zgubienia przeciwnika? — I odpowiada: — „Dzieją się na królewskim dworze. Tam, u szczytu władzy, skąd winien iść przykład prawa i etyki". — Tymczasem nie idzie, co „każe widzowi patrzyć z oburzeniem na zdeprawowany dwór, ostoję ówczesnej władzy". — Zdaniem Rusinka przez te uczucia w nas wzbudzone utwór Słowackiego staje się nam bliski.

Staje się z pewnością! Tyle że nie na tle tych uczuć, a zupełnie innych. Sama Maria Stuart nie może chyba dla współczesnego widza wyglądać na królowę serio. Na nikim nie mogła sprawiać tego wrażenia dawniej, a tym bardziej dziś. Dzisiaj nawet najmniej obeznany z legendą i historią widz nie wysłucha dziejów nieszczęsnej królowej szkockiej, jako dziejów tyranki. Podobnież Darnlej, mąż i kuzyn królowej, oraz Duglas, wojownik i niepohamowany mściciel swego honoru, nie sprezentują się dzisiejszej publiczności jako klasyczni przedstawiciele „amoralnego środowiska". Jeden Botwel niewątpliwie odpycha i przeraża, zwłaszcza kiedy się go interpretuje tak, jak go wczoraj interpretował **Władysław Surzyński**, jako zimnego drania. Ale i on — u Słowackiego postać sataniczno - romantyczna, wygłaszająca wszystkie swe tyrady „z wzrastającą gwałtownością", „z dzikim śmiechem", „z szyderstwem" — daleki jest od tego, żeby budzić w nas dreszcz grozy z rodzaju tych, jakie przeżywaliśmy przez ostatnie lata w rzeczywistości. Może jeden szekspirowski Ryszard III mógłby na nas podziałać w ten sposób, istotnie niebudujący przykład tego, czym potrafił być monarcha, jeżeli był z niego drań. Postaci „Marii Stuart" nie są do tego zdolne.

I królewskość w tej sztuce również schodzi na drugi plan. Królewskość Marii, i królewskość jej dworu i całego tła. Gdy czytamy, czy słuchamy tej historii po wojnie, uderza nas właśnie jej zwykłość, jej ludzkość. Maria mogłaby mieć zamiast szkockiego tronu dobrze prosperujący sklepik, do którego próbowałby się wżenić Botwel, przechodząc po trupie Darnleja. Władczość, królewskość całej kompanii wydaje się dziś taka pozorna. Po prostu ze względu na to, że lata wojny przyzwyczaiły nas do łączenia w jedno dwóch pojęć: władzy bezgranicznej i bezwzględności w jej sprawowaniu. Tymczasem Maria Stuart i wszyscy z jej otoczenia są pełni skrupułów, wahań, zgryzot i wyrzutów sumienia. To ich upodabnia do zwyczajnych ludzi, a odcina od tego, co jest najpotworniejsze we wszelkiej tyranii, królewskiej czy niekrólewskiej, że niszczy i morduje bez namysłu.

Wiemy z historii, że Elżbieta angielska uwięziwszy Marię Stuart, (której nie lubiła za bardzo wiele rzeczy a między innymi za to, że Maria próbowała przy pomocy oddanych sobie ludzi wyekspediować ją na tamten świat), w końcu zdecydowała się na to, żeby Marię postawić przed sąd i zgładzić. Ale nim to uczyniła, namyślała się dziewiętnaście lat. Ładny szmat czasu! Pełnia możliwości, żeby sprawę pozbawienia życia drugiego człowieka zgłębić i przewentylować na wszystkie strony. Ta Elżbieta przez wiele miesięcy nie mogła się zdecydować na zgładzenie swego przybocznego lekarza doktora Lopeza, którego sąd skazał na śmierć za udział w spisku na jej życie. Zgodziła się wreszcie i nieszczęsnego hiszpańskiego doktora wykastrowano, wypruto zeń wnętrzności, poćwiartowano, przed tymi czynnościami powiesiwszy na chwilę, lecz tak, aby go odciąć wczas ze stryka, zanim skonał". W Słowackim nie ma echa z okropieństw tej epoki. On je w swej „dramie historycznej" odsunął. Przeniósł natomiast z tych czasów i uczynił najbardziej zasadniczym elementem swej sztuki te różne wątpliwości, skrupuły, namysły. W każdej z postaci tragedii tkwi potężny kawał Hamleta, który także, nawiasem mówiąc, dla naszego dzisiejszego ucha brzmi inaczej niż dawniej. Dawniej symbolizował niestanowczość, dziś stał się dla nas symbolem przeżyć i wahań, przez które dobrze byłoby, żeby przeszedł każdy człowiek z tych, którym podoba się zabić swego bliźniego.

Zdałem sobie z tego sprawę niedawno, kiedym raz jeszcze poszedł na szyfmanowskiego „Hamleta". Ktoś za mną szepnął w momencie, kiedy Wyrzykowski szalał od swoich duchowych rozdwojeń: — Ach! żeby to się dzisiaj ludzie tak namyślali, zanim kogo poszlą na tamten świat!" — Okrzyk naiwny, ale wyrażający jedną z najistotniejszych tęsknot współczesnego człowieka. Ideał, rzecz prosta, połowiczny, program minimalny. Sądzę jednak, że to zrozumiałe. Ta połowiczność wypływa po prostu z tego, że zmaltretowany współczesny człowiek, w odruchu wewnętrznym nie śmie za dużo naraz chcieć. I w pierwszym impulsie już nie żąda tego, żeby w ogóle nikt nikogo nie mordował, ale wolą o to, żeby się przedtem przynajmniej dobrze namyślił. I dlatego sądzę, że właśnie ten namysł, te lęki, te skrupuły ze zbrodniczych postaci w „Marii Stuart" czynią nam postaci bliskie, przez to samo czyniąc nam bliską całą sztukę. W o wiele wyższym stopniu niżeli powody, o których wspomina Michał Rusinek. Nie wyłączając nawet owego, „jakże współczesnemu widzowi bliskiego" — jego zdaniem — „wysadzenia zamku w powietrze w celu zgubienia przeciwnika".

Przedstawienie w „Teatrze Klasycznym" wypadło bardzo ładnie. Wyreżyserował je **Stanisław Milski**, po prostu, bez żadnych kawałów i sztuk reżyserskich. To może najbezpieczniejszy sposób, kiedy się chce po latach pokazać sztukę nowemu widzowi. Natomiast widz bardziej obyty z teatrem, i taki, który tę tragedię już oglądał, wolałby z pewnością ujrzeć ją zrobioną ze śmielszą inwencją. „Maria Stuart", to bardzo wczesny Słowacki. Pełno w niej scen, a nie brak również postaci, z gorszego kruszcu. Kto wie, czy takich scen nie należałoby silniej poprzykracać, a postaci przenosić na inny grunt, mniej koturnowy. Na przykład owego astrologa. Czy nie lepiej byłoby wyłuskać go z tej uprzykrzonej brody i potraktować z mniejszym respektem. Bo właściwie co to był astrolog? Był to jegomość, który pełnił funkcję cyganki i funkcję tę, którą pełni dziś publicysta, wysnuwający z aktualnych tematów horoskopy na przyszłość. Inaczej mówiąc, w jednej osobie — na przykład — profesor Pyfello i — choćby — Jan Alfred Szczepański. Po co więc im ta cała opera z włosami po pas i głosem grobowym. Uzwyklić postać astrologa, na pewno stanie się żywsza.

No i błazna! Błazen, którego grał sam reżyser, wybornie mówił wiersz, podkreślał go znakomicie plastycznym gestem, w słynnej scenie konania wyciskał łzy na widowni; może je tylko wyciskał nieco za długo. Natomiast nie odbłaźnił błazna. Nie zdecydował się na to, o co przez lata całe Boy błagał wszystkich błaznów z wszystkich sztuk szekspirowskich i romantycznych, by nie próbowali widzów śmieszyć ani skokami, ani sztuczkami. Wszyscy oni bowiem mają ten feler, że w ich tekstach nie ma krzty dowcipu. Nie było go w ogóle czy też wywietrzał. Natomiast pozostało to, co aż się prosi o podkreślenie. Ich wyższość intelektualna ponad resztą postaci. Tak i tu Nick jest wyższy ponad swego Darnleja. I to jest sens tej roli, którą tak niepotrzebnie obciążają żałosne dowcipy, domagające się znowu ze swej strony niby to śmiesznych gierek i prysiud. Do lamusa z tym!

W roli królowej szkockiej wystąpiła **Maria Gorczyńska**. Póki królowała i gromiła poddanych, miała cały nasz podziw. Nieco z niego traciła w scenach sercowych, była sztywna, ale zarazem ani królewska, ani kobieca. Najgorzej dawała sobie radę z tonami religijnymi. Nie tłumaczyła ich niczym. Ani obłudą, ani trwogą. A właśnie tony te czynią postać Marii tak przykuwająco ciekawą. Z tekstu wynika, że są one niewątpliwie szczere. Na to całe zagmatwanie pani Gorczyńska właściwie machnęła ręką. Spróbowała z całej Marii uratować jej monarszość, element najmniej ciekawy. Właśnie najbanalniejszy.

W roli Duglasa wystąpił **Alfred Łodziński**. To chyba najświetniejszy talent charakterystyczny jego pokolenia. Duglas Łodzińskiego,— tak oporna figura, jedna z najsłabszych w sztuce — wybijał się w tym ujęciu na front spektaklu. Nawet obrzydliwa scena, w której bezbronnego i skrępowanego Rizzia zabija nie sztyletem — bo sztyletem to nie byłoby rycersko! — ale szpadą, nabrała przy wybornej, skupionej grze Łodzińskiego jakiejś szlachetności. Pisząc te słowa czuję w sobie nagły przypływ astrologicznego natchnienia: oto przepowiadam teatrowi, który oprze się na Łodzińskim i da mu rolę jego godną, olbrzymie powodzenie.

Małżonkiem Marii był **Aleksander Żabczyński**, pełen ogromnej prostoty i wdzięku. Z postaci odtrąconego męża, bezradnie przygotowującego się na utratę i żony, i berła, i życia, wydobył co najistotniejsze: moc i rozmach, i żywotność nagle zgaszoną i okaleczoną, bo w sidłach. Rizziem był doskonały **Jerzy Śliwiński**. Niestety, z jego pięknej sceny, w której chyłkiem powraca do królowej, nic nie wyszło przez sztywność i chłód Marii, jak o tym wspomniałem.

Dekoracje **Feliksa Mankiewicza**, niewymyślne i niepozbawione uroku. Stroje tegoż. Wspaniałe! Kostiumy pani Gorczyńskiej imponujące i prześliczne. I w formie i w kolorach. I w swej wierności historycznej.

Tadeusz Breza

W poprzednim 7 (168) numerze „Odrodzenia" z dnia 15 lutego 1948 r.: **Feliks Topolski:** Wyznanie malarza. — **jap:** Bitwa o Sartre'a w Berlinie. — Bernard Shaw wobec Zachodu i Wschodu. — **Hewlett Johnson, dziekan Canterbury:** Jedna szósta kuli ziemskiej. — **Mieczysław Jastrun:** Prorok. — Pokolenia literackie w Nieborowie (**Stanisław Wygodzki, Wacław Kubacki, Wiktor Woroszylski, Lesław M. Bartelski, Henryk Markiewicz, Roman Bratny, Tadeusz Borowski, Tadeusz Konwicki**). — **Tadeusz Breza:** Niespodzianki Stanisława Dygata. — Listy paryskie: **Louis Aragon** (przełożyła **Maria Stulgińska**): Kronika deszczu i pogody. — **Stanisław Gogluska:** Literatura w proszku.—**Mariusz Margal:** Chaplin - Verdoux, czyli zbrodnia i polityka. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury. Pochwała stylu. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny. Gimpel, Szpilman, Rajter, van Veen. — **kjw:** Szkoła krytyków. Starość pisarzy. — **Jan Śpiewak:** „Impertynencje" Jana Huszczy. — Tydzień bibliograficzny. — Korespondencja (**Aleksander Śnieżko, St. R. Dobrowolski, Jan Kott, Stefan Żółkiewski, Eugeniusz Żytomirski**). — **Ostatni** list Teodora Dreisera. — **Camera** obscura. — 17 ilustracji.— 8 stron.

ANDRZEJ STAWAR

Teatr „Placówka" — Burza

„Burzę" wystawiano w zeszłym roku w Warszawie w ramach festiwalu szekspirowskiego — szerszej publiczności stołecznej widowisko to stało się dostępne dopiero teraz dzięki występom „Placówki", ekspozytury łódzkiego teatru Wojska Polskiego na Warszawę.

W wydaniu dzieł Szekspira „Burza" znajduje się w dziale dramatów fantastycznych obok „Snu nocy letniej", „Opowieści zimowej" — od tych utworów jednak różni się zasadniczo — nie tyle charakterem fantastyki, ile aspektami myślowymi. W dziełach Szekspira współistnieją różne warstwy kulturalne, ścierają się zasadniczo sprzeczne formacje ideowe współczesności. Obok „Hamleta", „Burza" stanowi najbardziej uderzający przykład tego współżycia i ścierania się. Utwory te ustalają pewne rozgraniczenia — i zarazem otwierają perspektywy na nowe związki ideowe, nowe sprzeczności. Mówi się często o harmonii poetyckiej, stawia się Szekspira jako wzór — trzeba jednak pamiętać, że osiąga on ją doprowadzeniem przeciwieństw do stanu krańcowego napięcia — nie tylko przeciwieństw ludzi, charakterów postaci scenicznych, ale również przeciwieństw idei.

Mamy tu nie tylko ujęcie dawnych, ale i powstawanie nowych przeciwieństw kulturalno ideologicznych epoki. Osoba Prospera unaocznia te wspólne korzenie, które łączyły świat myśli, wiedzy z magią. Prospero, podobnie jak wielu ówczesnych uczonych, jest równocześnie myślicielem, człowiekiem wiedzy, trawiącym czas na poznawaniu świata i spraw ludzkich, i czarownikiem. To połączenie nie jest dowolnością poety. Wielu ówczesnych ludzi wiedzy astronomię łączyło z zabobonami astrologii, poszukiwania chemiczne z alchemią, a medycynę łatało fantastyką. Ale czy można powiedzieć, że te antagonizmy zostały całkowicie umorzone w czasach naszych? Iluż mamy i dziś naukowców, mistrzów wiedzy doświadczalnej, ścisłej, którzy od tej solidnej, skrupulatnej pracy urządzają sobie wycieczki w świat magii, mitów, zmyśleń, których główny urok stanowi tradycja. Nie można przecież powiedzieć, aby te wycieczki niektórych luminarzy wiedzy nowoczesnej miały równy powab co w czasach Prospera — wtedy naiwne fermenty myślenia cechowała pionierska śmiałość, przypominająca ówczesnych eksploratorów i podróżników, również łączących odwagę poszukiwań, energię, upór w odkryciach z szerzeniem fantastycznych baśni o niezamieszkałych, mało znanych krajach i okolicach.

Jeśli idzie o działanie Prospera, skierowane ku rzeczom ziemskim, to mamy dziś inną hierarchię ważności spraw. Ostatecznie cała ta historia z utratą tronu fikcyjnego księstwa mediolańskiego trąci konwenansem scenicznym. Do widza ówczesnego przemawiała inaczej — w patriarchalnym ustroju rodzinnym podobne przypadki losu, uzurpacje i wywłaszczenia nie stanowiły osobliwości losów książąt, zdarzały się przecież i na dworze szlacheckim i w domach mieszczaństwa również. Konwenans monarszy służył do wprowadzenia tych spraw na poziom tragedii.

Ostateczne cele zabiegów Prospera są dość uchwytne i przyziemne. Porusza niebo i ziemię, używa sił nadnaturalnych, by uzyskać utraconą pozycję, majątek oraz wydać córkę pomyślnie za mąż. Podobnie jak w „Fauście" poruszono niebo i ziemię, zaprzedano duszę — aby w tej monumentalnej oprawie ukazać raczej skromną, powszednią historię uwiedzenia Małgosi. Ale w „Burzy" tkwi w zarodku istota problematyki Fausta — przetrawienie poetyckie żywiołu magicznego w cywilizacji, by w ostatecznym wyniku przezwyciężyć go i odrzucić.

Prospero aranżując swoje czary, machając pałeczką magiczną parokrotnie wspomina o Bogu i Opatrzności. Magia, posługiwanie się siłami nadziemskimi były w niezgodzie z religią — wspomnienie o Opatrzności jest więc znowu konfrontacją sprzecznych postaw. Ostatecznie magia wypędza z życia ludzkiego teologię, by sama później rozwiać się w poetycką nicość. Prospero odkładając pałeczkę magiczną kończy sztukę jako inscenizator wydarzeń, teatralizator życia.

Nawiązuje to do zasadniczych rozgrywek ideologicznych owych czasów. Szekspir żył przecież w epoce maksymalnego natężenia walk religijnych — z których wynikały wojny domowe, międzypaństwowe, prześladowania, egzekucje. Pouczający przykład dialektyki historii: z natężenia fanatyzmów religijnych, walk dogmatycznych wyznaniowych, przedłużanych ku utrapieniu współczesnych w nieskończoność, zwycięsko wychodzi laicka myśl świecka. Widzimy ją we Francji u Montaigne'a, z którym tyle wspólnego ma przecież postawa filozoficzna Szekspira, widzimy w życiu politycznym, w karierze takich ludzi jak Henryk IV.

W tych to sprawach, na pozór dalekich od poetyckiej opowieści o losach Prospera jego córki i brata, o utracie i odzyskaniu księstwa — leży trwalszy sens „Burzy" dla nas i naszych czasów.

Ze społecznego punktu widzenia szczególne zainteresowanie wzbudzało przeciwieństwo zawarte w postaciach Prospera i Kalibana. Nie ulega wątpliwości, że szekspirowski dzikolud jest nie tylko upostaciowaniem obcego, zagadkowego świata ludów zamieszkujących kraje nowoodkryte. Mamy tu również groteskowe przeciwstawienie cywilizacyjnego prymitywu dołów feudalnego społeczeństwa — oświeconym władcom. Postępowanie Kalibana, poduszczanie przez niego Stefana do walki o władzę nad wyspą, nasuwa interpretację polityczną. Niezawodnie wypowiedziały się tu — w złożony sposób feudalne poglądy Szekspira, mieszczanina dążącego do szlachectwa i osiągającego je z niemałą fatygą. Nie zapominajmy przecież, że w owych czasach kontrasty kulturalne występowały z elementarną ostrością. Monopol kulturalny warstw górnych nie był fikcją — sama sztuka pisania i czytania stanowiła symbol władzy i ucisku. Wystąpienia społeczne mas w czasach feudalnych z reguły zwracały się przeciw piśmiennym. Jeszcze w XIX w. Herzen w wezwaniu do chłopów mówi jednym tchem, z jednaką nienawiścią o dziedzicu i kanceliście — to było dla człowieka z ludu zrozumiałe. Późniejsze interpretacje robiły użytek polityczny z tego pamfletowego traktowania postaci Kalibana. Ale od epoki Szekspira te sprawy uległy poważnej odmianie.

W naszych czasach ludzie, jak ich nazywano prości, nauczyli się cenić kulturę, posługiwać jej narzędziami — zużytkowywać je w walce. Pęd do kultury, do nauki jest sprawą powszechną. Właśnie dlatego nastąpiła tu zasadnicza zmiana obrazu. Dzisiaj zasadniczych przeciwników kultury znajdziemy raczej wśród warstw dawniej uprzywilejowanych i ogładzonych. Występuje to w formie wszelkiego rodzaju sceptycyzmu i nihilizmu kulturalnego nieraz dyskretnie ukrytego w arystokratyzmie elity. Tu należy zaliczyć wyrzekania, że za dużo mamy nauki, za dużo wynalazków zaburzających życie, za dużo wulgaryzacji wiedzy — stąd wszelkiego rodzaju ciągoty do prymitywu, do prostoty i wiary dawnych czasów. Kalibanizm naszych czasów nie chodzi okryty niewyprawną skórą ze zmierzwionymi kudłami, owszem, bywa przyczesany, zapięty na wszystkie guziki, schludny — z mgiełką mistycyzmu w oczach, z ciągotami do nadczłowieczeństwa.

„Burzę" uważam za najwybitniejsze wydarzenie zeszłorocznego festiwalu. Nie trzeba pomniejszać zalet przedstawienia teatru Galla, który otrzymał pierwszą nagrodę — piękne przedstawienie, zagrane żywo, sprawnie, bibelocik sceniczny bardzo starannie, czysto wykonany, Schillerowska „Burza" jednak stanowi, jak mówi się w sporcie — klasę dla siebie.

Inscenizacja ta spotkała się z szeregiem zarzutów — dowolności w traktowaniu tekstu, nierówności stylu w poszczególnych fragmentach, tu i ówdzie słabej faktury scenicznej, za dużo muzyki, — cyrkowe potraktowanie partii komicznych itp. Wiele zarzutów ma uzasadnienie. Ale co z tego. Nie wracajmy do dysput o nietykalności literalnej tekstu szekspirowskiego — w praktyce wszyscy robią skróty. Sam Szekspir nie należał do autorów dbałych o wykończenie. Gdy chwalono go za to, że pisał pewną ręką i nie skreślił ani wiersza swoich utworów, rywal i wielbiciel poety Ben Jonson wyraził życzenie — bodajby ich skreślił tysiące. Poza frazeologią właściwą epoce, wiele tam było rzeczy okolicznościowych — choćby cała wstawka deklamacyjno taneczna z boginiami, jeden z wyraźnych śladów uległości autora wobec wymagań widzów czy mecenasów zamawiających sztuki. Równie dobrze mieścił się w tym teatrze ceremoniał galanterii dworskiej, konwenans obyczajowy, jak kontrastujący z nim gruby humor — trefnisie na dworach wielkich panów uprawiali ten typ komizmu, jaki spotykamy dziś w cyrkach czy musichallach. Tak, że te zarzuty wypadnie sprowadzić do miary właściwej. Wielkości Szekspira nie należy szukać w każdej literze jego tekstu, w poszczególnym epizodzie czy scenie, ale w koncepcji ogólnej, we współdziałaniu jego sztuki z wielkimi zagadnieniami, wielkimi prądami swego czasu. Oczywiście, nie można zalecać dowolności czy przestawień tekstu, jako reguły. W tym wypadku jednak gra, jak to mówią, warta świeczki.

W inscenizacji Schillera pulsuje, wre pierwotna myśl, pierwotne konflikty ideowe, nie umorzone całkowicie aż do naszych czasów. Gra sił magii i racjonalizmu, zabobon, przesąd a obok zuchwałe kiełki myśli wolnej. Inscenizacja uwydatnia pierwiastki faustowskie dramatu, ale to nie jest dowolność. To, co określono później jako pierwiastek faustowski, tkwi w znacznej mierze w „Burzy", z wielu niekonsekwencjami i pozostałościami podania pierwotnego, oraz jego dalszych rozwinięć.

Ostre wyodrębnienie refleksyjnych partii Prospera i przestawienia tekstu zmierzało również do tego celu. — Podobnie wydzielanie świata jawy i rojeń dokonane sposobami prostymi ale plastycznymi — podkreślało sąsiedztwo realności życia i kontrastów scenicznej butaforii.

Element ten uwydatniony został przede wszystkim w dekoracji Daszewskiego. Pierwiastek naiwnie racjonalistyczny w kwadracie mapy kontrastuje z dziedziną baśni poetyckiej, z udziałem duchów. Obfitość muzyki, zgodna zresztą z charakterem sztuki, łagodziła i zacierała nieuniknione kontrasty przejść od realności do zaświatowości czy ponadświatowości.

Strona aktorska wymagałaby bardziej szczegółowego omówienia. W widowisku tego rodzaju, wysuwającym na pierwszy plan ideową filozoficzną zawartość dzieła, rola aktora przedstawia się w sposób specyficzny. Ma on dać coś więcej niż postać sceniczną, tak czy owak pojętą, tłumaczącą się żywo widowni, żyjącą — ma dać zarazem pewną postać ideową. W „Burzy" występują na pierwszy plan trzy kreacje, (Obsada przedstawienia w „Placówce" różniła się od pierwotnej, m. in. role Alonza, Kalibana). Prospero Adwentowicza, ucharakteryzowany wedle portretu Szekspira, wyraził poruszający obraz wewnętrznych przeobrażeń maga, kontrastu jego życia intelektualnego i ziemskich zabiegów. Bardzo ciekawie potraktowana zarówno w koncepcji jak i rozwiązaniu była rola Ariela i jego kilku wcieleń (Ryszarda Hanin): żywioł ptasiej lotności, pociąg do lotu, zarazem podludzki charakter żywiołowych sił natury, upostaciowanych w mitach o elfach; — siła nadnaturalna połączona z pewną bezbronnością wobec człowieka, który potrafi ducha po swojemu „zażyć". Motyw bardzo często spotykany w podaniach i baśniach. Silną, z dużą energią i wytrawnością postawiona była kreacja Kalibana Kaczmarskiego, który uwydatnił dwoistość w połączeniu rysów potwora, dzikoluda czy podczłowieka, z rysami głęboko ludzkimi, co ułatwiło, przygotowało końcową scenę pojednania, istotnie tuszującą nieprzejednanie przeciwieństw, właściwe tragikowi. Kaliban stanowi łącznik z partiami humorystycznymi błazna (Lubelski) oraz Stefana (Łapiński), który dał postać opoja w soczystych barwach. Groteskowa historia pretendenctwa Stefana o władzę nad myślą, nie pozbawiona przecież poważnej ironii, po swojemu naświetla zabiegi Prospera o odzyskanie księstwa. Z innej strony podano sens dzieła w dworskiej grupie rozbitków — tu przecie wdał się dworski konwencjonalizm epoki, który szczególnie uderza w historii z królem neapolitańskim. Ten sam dworski konwencjonalizm w traktowaniu osłabia niezawodnie role obojga kochanków, skądinąd partie owe mają sporo wdzięku (Miranda — Sojecka, Ferdynad — Woźniak). Reszta świata dworskiego, postacie marynarzy uwydatniają chaotyczne bogactwo obrazu szekspirowskiego — wobec którego dramat naszych czasów wydaje się oschły i nieraz ubogi.

W ostatnich czasach pojawiła się skłonność do atakowania czy narzekania na Schillera. Mówi się, że jest nieszczególnym administratorem, że teatr jego nie posiada jednolitego stylu, że poziom pracy jest nierówny, że niewiele daje aktorom, nie umie sobie z nimi radzić itp. Być może w tych zarzutach niejedno ma podstawę. Z punktu widzenia niefachowego widza interesującego się teatrem są to jednak rzeczy drugorzędne. Wady Schillera można wyliczać długo — ale przez to nie scharakteryzuje się niepowtarzalnego stylu zjawiska teatralnego, któremu na imię Schiller. Praca koncepcyjna, twórcza, włożona w „Burzę" stanowi nowy dowód jego siły i żywotności.

Dobrze więc się stało, że warszawski D W P stworzył ową „Placówkę", dając możność szerszej publiczności stołecznej zapoznać się z schillerowskim dorobkiem ostatnich czasów.

Andrzej Stawar

Teatr Teatr Film

RYSZARD ORDYŃSKI

Poczęcie filmu

Podziwiając uroczą baletnicę, jej wdzięk, lekkość ruchów i nieskazitelność posuwistych pas baletowych, chciałoby się krzyknąć: „Jakież to łatwe!". U innej chropowatość wyuczonego kroku tanecznego, skok wykonany bez precyzji, męczy widza i gotów jest przysiąc, że taniec to najtrudniejsza sztuka na świecie. Podobnie jest z każdym dziełem literatury czy sztuki. Rozkoszując się lekkością i dowcipem poetyckim „Księgi Pieśni" Heinego czytelnik jest przekonany, że genialny poeta tworzył bez wysiłku, pisał swe poematy w tej ostatecznej formie, w jakiej je ogłosił. Nikt z tych czytelników nie oglądał jego rękopisów pełnych skreśleń, poprawek i przestawień. Heine był natchnionym poetą i równocześnie wielkim majstrem w wykonaniu, powiedzmy, „technicznym". Po prostu: dzieło sztuki w swej ostatecznej formie winno zatracić ślady szwów, powstałych w czasie roboty.

Film jest dziełem zbiorowym, a więc na każdym kroku napotyka się szwy z najrozmaitszych gałęzi twórczości. Samo jego założenie i istota wykluczają indywidualne wykonanie filmu w ostatecznej formie przez jednego lub dwu twórców. Słowo autora, jak i techniczny odbiór tego słowa, jak następnie stonowanie go z ewentualną ilustracją muzyczną, z dźwiękiem wszystkich scen, nagranym na taśmie — winny znaleźć wspólny wyraz i jednolite, harmonijne brzmienie. To samo odnosi się do dekoracji, współgrającej z literackim zamierzeniem autora a zarazem skojarzonej we właściwy sposób z akcją na ekranie i tysiącem subtelnych oświetleń poszczególnych scen.

Ten splot indywidualnych rozbieżnych sądów, prowadzi do sporów wśród współtwórców filmu. Wychodzą one na zdrowie „pacjentowi", o ile, rzecz prosta, kierownicy produkcji rozumieją cel, duchową i techniczną „rację stanu" filmu i potrafią spory te regulować.

AUTOR — I CO DALEJ?

Stąd wynika, że koncepcja filmu nie może być jedynie dziełem autora scenariusza, pojętym z punktu widzenia literackiego. Na wstępie trzeba wyraźnie zaznaczyć, że jakkolwiek tematy filmowe niejednokrotnie opierają się na skrótach utworów dramatycznych lub powieściowych, film nie jest nigdy ani teatrem ani powieścią. Jeżeli się to przyjmie za podstawę wszelkiej produkcji kinematograficznej, wówczas praca autora znajdzie w dziele filmowym poczesne miejsce. — Może być ono ideowo kierownicze i zapładniające umysły wszystkich współpracujących.

Literaci odnoszą się do filmu bez zapału i ze zrozumiałym brakiem zaufania. Widzi się to wszędzie. Od Hollywood aż do najskromniejszych wysiłków na naszym gruncie, w Polsce. Wina zwykle leży po obu stronach. Opierając się na wieloletnim doświadczeniu u nas i za granicą, jako autor i jako wykonawca zarazem, doszedłem do przekonania, że autorzy pierwsi powinni spróbować rozwalić mur nieporozumień.

Idzie tu o rzecz na pozór prostą, ale decydującą: o zrozumienie o d m i e n n o ś c i filmu od każdego innego dzieła sztuki i literatury. Odmienność ta daje ciekawe pole do literackiego tworzenia, a zarazem nowe podniety, zbliżając autorów do arkanów ludzi innych zawodów, zatrudnionych przy pracy nad ich filmem.

Jean Cocteau, filmując przed dwoma laty swoją baśń o „Pięknej i Bestii", w pamiętniku notował uwagi na temat kinematografii i swoich walk z surowym materiałem, z którego powstaje obraz filmowy. Z zainteresowaniem i niezwykłą cierpliwością śledził szczególnie pracę operatora filmowego Alekhana, którego darzył wielką sympatią i zaufaniem. Cocteau tak pisze o pierwszym dniu zdjęć:

„Jestem podniecony. To nasze pierwsze zdjęcia. Widzę to, czuję. Bardzo, bardzo piękne. Wyraźne, bogate w szczegółach, krzepko poetyczne. Alekhan zrozumiał mój styl. Wypukłe kontury, kontrast — i coś nieuchwytnego, jak gdyby lekki powiew wietrzyka". Lub gdzie indziej: „Alekhan lęka się, pełen wahań. Nie ma odwagi być twardym w swoich efektach fotograficznych..."

A gdy rzecz się zbliża ku końcowi, Cocteau staje się elegijny:

„Ostatnie zdjęcia. Nie znam nic smutniejszego niż kończenie filmu, zrywanie z oddanym pracy zespołem. Najprostszy robotnik, który tylko przenosi dekoracje, jest świadom tej małej śmierci. Praca nasza dziś jest bardzo trudna. Piękna i Książę płyną przez obłoki. Piękna poprzez mur wchodzi do domu ojca. Same tricki — ale uczciwe tricki filmowe, jedyny rodzaj, który lubię i który mnie podnieca..."

Nie każdy autor filmowy interesuje się swoim dziełem literackim, przekształcanym w film. W Hollywood autor sprzedając wytwórni prawa filmowe swego dzieła (już opublikowanego i zwykle bardzo poczytnego), z góry zgadza się na wszelkie zmiany dokonywane przy produkcji, interesując się tylko wysokością honorarium. Zdaję sobie sprawę z faktu, że zniekształceniu pewnych wartości literackich utworu i tak nie zdoła zapobiec, a jako literat osiągnął już pełne zadowolenie z powodzenia u publiczności, zanim zdecydował się na ustąpienie wytwórni praw filmowych. Np. tendencje polityczne zawarte w powieści Hemingwaya „Podzwonne dla tamtych", pisanej podczas rewolucji hiszpańskiej, uległy poważnemu wypaczeniu. — Nie wyklucza to jednak innych wypadków, kiedy dzieło autora w ręku uczciwych i inteligentnych scenarzystów znajduje pełny szacunek wytwórni, oddającej wiernie jego treść i zachowującej linię ideową autora.

U nas, w chwili obecnej, kiedy rola autora nabiera poważnego znaczenia, gdy strona ideowa scenariusza staje się czynnikiem nieodłącznym — łatwo da się uniknąć tych problemów. Wierzę, że zależy to jedynie od przełamania lodów, dzielących autora od aparatu technicznego.

NAKRĘCANIE I — WYKRĘCANIE FILMU

W Polsce przedwojennej produkowano filmy przeważnie z kredytów, udzielanych przez właścicieli kin; bez ich dobrej woli i zaufania film był z góry skazany na niepowodzenie. Weksel lub gotówka zmuszały reżysera do przyjęcia pewnych postulatów. Były to najdziksze żądania i warunki, np.: „Musi grać Smosarska", lub w połowie filmu „musi pan dać wielką scenę z dansingiem i ładnymi toaletami pań", albo wreszcie bardzo uproszczone: „niech zabijają, ale niech się dużo śmieją". Mimo to Józef Lejtes umiał być najkosztowniejszym dla producenta reżyserem, bo się za „ich pieniądze wyżywał artystycznie", a Aleksander Ford umiał jakimś cudem robić ciekawe filmy bez pieniędzy. Wszyscy pracownicy filmu pamiętają, jak Stefan Dękierowski rozpoczął w małej suterence, a tylko dzięki niezwykłemu zapałowi i niestrudzonemu wysiłkowi budował swoje laboratoria i hale do zdjęć kinematograficznych, wprowadzając rok w rok inteligentne reformy do produkcji filmowej.

Autor scenariusza i reżyser śmiało szukający nowych dróg, nie tylko u nas lecz wszędzie na świecie, spotyka się z przeszkodami; stawianymi przez tępotę ludzką, brak odwagi i strach przed czymś dotychczas nie wypróbowanym. Sakramentalne oświadczenie: „To się nie da zrobić" napotyka każdy, kto próbuje pogłębić i rozszerzyć artystyczne możliwości filmu.

Byłem świadkiem, jak znakomity reżyser John Ford na hali wytwórni XX Century-Fox zażądał odwrócenia aparatu od światła — i nie ustąpił mimo protestu operatora. Niezwykle pomysłowy operator filmowy, Rudi Maté (z matki Polki i ojca Węgra, urodzony w Krakowie i żonaty z Polką), sam, bez pomocy pracował przez całą noc w pustej hali do zdjęć nad pewnym efektem fotograficznym, aby zadowolić kaprys reżyserski Lubitscha. Inny Polak, Bronisław Kaper, muzyk, po wielogodzinnej mozolnej pracy wraz z inżynierem dźwiękowym, wydobył dla sceny wizyjnej nieskończenie subtelne szmery muzyczne. A ileż razy widziałem, jak nestor polskiej kinematografii, Zbigniew Gniazdowski, w poszukiwaniu nowych ujęć robił niesłychane wysiłki dla wydobycia efektu fotograficznego, który miał wprowadzić do pewnej sceny atmosferę fatalnego przeczucia. A czynił to nieraz z niewyćwiczonym zespołem technicznym, najskromniejszymi środkami i aparatami.

Ale mimo tej walki z drogą łatwizny technicznej, dyletantyzm trwa jeszcze ciągle w twórczości filmowej. Miliony metrów taśmy i tysiące godzin pracy zespołu produkcyjnego marnuje się przez zatrudnienie niewykwalifikowanego personelu. Nie mieliśmy go nigdy za dużo, ale po wojnie powstały przeraźliwe luki. Rzetelne i szybkie szkolenie nowych kadr technicznych jest palącą potrzebą. Ci młodzi niezawodnie pragną tego wyszkolenia, bo to ich zbliży do istoty realizacji filmowej. O takim szkoleniu młodych słyszy się u nas na wielu polach, a przeprowadzone sumiennie i inteligentnie pomnoży ono w krótkim czasie zespoły pracowników filmowych. Możemy być pewni, że wszyscy wykwalifikowani znajdą swoje miejsce w powstającej produkcji.

WSPÓŁRZĘDNOŚĆ — NADRZĘDNOŚĆ — KOORDYNACJA

Z możliwościami technicznymi filmu wzrosła również jego wydajność kulturalna i artystyczna. I u nas dojrzało zrozumienie roli, jaką film ma odegrać w kształtowaniu się społeczeństwa. Uznano jego zadania na polu wychowawczym i jego zakres oddziaływania na masy, spragnione „godziwej rozrywki", uświadomienia, łez i śmiechu. Nie wolno też w zapale wychowawczym zapominać o starej prawdzie, że najgorszym środkiem pedagogicznym jest nud

Nie ma czasu do stracenia — trzeba znaleźć wytyczną i iść wprost do celu. Należy umiejętnie organizować, szukać fachowców, szkolić młodych i pamiętać o hierarchii ważności ludzi i rzeczy.

W tym poszukiwaniu przede wszystkim a u t o r scenariusza powinien zająć odpowiednie miejsce i otrzymać warsztat pracy — uwzględniając współdziałanie z innymi elementami budującymi film. Niechaj autorzy pamiętają o tym, że „J e d n y m z p r z y w i l e j ó w k i n e m a t o g r a f i i jest to, że miejsca akcji dadzą się połączyć z sobą, rozbijać i znowu spajać zgodnie z naszym smakiem". To są również słowa l i t e r a t a Cocteau, który dowiódł wielkiej miłości i cierpliwości w zetknięciu z filmem. Jeżeli operator filmowy i dźwiękowy zainteresują się autorem i jego życzeniami, jeżeli oświetlenie scen będzie w zgodzie z muzyką, a montaż zespoli wszystkie te elementy w pewną mądrą i synchroniczną całość — współrzędność wysiłku da wspaniałe wyniki. Warunek konieczny — aby nadrzędne i odpowiedzialne czynniki miały wgląd w tę skoordynowaną pracę, aby w potrzebie umiały kontrolować lub kierować.

Wróciłem niedawno do kraju i z entuzjazmem patrzę na rozwój spraw odbudowy kulturalnej. Nie mogę jeszcze oceniać poszczególnych wysiłków i osiągnięć. Film stoi dziś u nas u wrót prowadzących do wielkiej akcji, w całym kraju oczekiwanej. Nie pora, zdaniem moim, zbyć szyderstwami lub dowcipami zadania, które są u nas o tyle trudniejsze niż w każdym innym kraju.

Przed dwoma laty jeszcze nie było ani jednego laboratorium filmowego, ani jednej hali zdjęciowej. Były tylko projekty, próby i poszukiwania. — Film Polski, jak się wydaje, jest świadomy swoich zadań i odpowiedzialności. Ale pamiętajmy o skreśleniach i poprawkach w rękopisach Heinego i tylu innych wielkich!

Może już niedługo otrzymamy obraz, w którym ślady szwów będą ledwie widoczne.

Ryszard Ordyński

LUDMIŁA PROTSCHKE

GŁÓD KSIĄŻKI?

Sprawę książki w Polsce rozpatrywano w ostatnich trzech latach wszechstronnie, zarówno na terenie wewnętrznym wydawnictw, jak i w prasie, omawiając zagadnienie twórczości pisarza, produkcji wydawnictw, bibliotek — wszechstronnie, z wyjątkiem jednego czynnika: konsumenta książki.

Gdy w roku 1945/46 rozpoczęła się działalność wydawnicza, wysunięto dwa zagadnienia: sprawę planu wydawniczego z punktu widzenia konieczności odbudowy zniszczonej książki i bibliotek, i sprawę kalkulacji ceny książki, opartej na wielkich nakładach.

O ile zagadnienie planu wydawniczego, wobec aktywności wielu dawnych i nowych wydawców i braku odpowiedniego czynnika planującego poszło z czasem w zapomnienie, o tyle drugie przyjęto jak odkrycie o wszechstronnie dobroczynnym działaniu. Nakłady były duże i rosły od 10 do 100 tysięcy egzemplarzy jednego tytułu, porównanie z przedwojennymi cyframi budziło nadzieję, że konsumcja książki stanie się bardziej powszechna. Zdawało się, że zagadnienie książki dla szerokich mas zostało rozwiązane. Książka w tym pierwszym okresie była stosunkowo tania. Nim jeszcze wyszedł dekret o bibliotekach powszechnych — potężnym odbiorcy książek, wiele instytucji, organizacji społecznych i zakładów pracy zaczęło kupować książki do własnych bibliotek, a ubóstwo tytułów stwarzało popyt na egzemplarze również jeśli idzie o prywatnych miłośników książek. Rok 1946 był rokiem doskonałej koniunktury wydawniczej.

W roku 1947 zjawiły się już pewne cienie i powody do niepokoju. Magazyny wydawców pęczniały, nakłady zaczęły maleć, a co za tym idzie, cena książek rosła. Zorientowano się, że grozi niebezpieczeństwo powrotu do przedwojennego stanu: drogiej książki i małych nakładów. Jakie czynniki złożyły się na te niekorzystne zmiany czy raczej ich zapowiedź?

1) Wielkim ciosem była znaczna, bo około 30%-owa zwyżka ceny książki w kwietniu ub. r., niezależna już od polityki wydawniczej, a wynikła z olbrzymiej zwyżki ceny papieru. Ograniczyła ona poważnie zakupy instytucji i organizacji, przewidziane w budżetach ustalonych na początku roku.

2) Realizacja ustawy bibliotecznej nie przyniosła spodziewanych zmian na rynku wydawniczym — jej rozmiary były bardzo szczupłe, odbudowa dawnych bibliotek i zakładanie nowych ledwo się zaczęły.

3) Wzrosła poważnie ilość wydanych pozycji w porównaniu z 1946 r., a zatem poszczególne tytuły miały proporcjonalnie mniej odbiorców. Kiedy ilość tytułów dawała możliwość wyboru równającego się prawie przedwojennemu, nakłady zaczęły również spadać do poziomu sprzed wojny. Tu ujawniła się rzecz najbardziej istotna: krąg odbiorców książki nie rozszerzył się tak, jak można się było spodziewać rok temu.

Okazało się ostatecznie, że magia zamkniętego kręgu: duże nakłady, niska cena książki, nie działa samoczynnie. Że zaklęcie niskiej ceny nie zaczarowuje zjadaczy chleba w smakoszów książki. Brak bowiem było czynników, które by takiej polityce wydawniczej nadały przydatność społeczną. Brak zorganizowanego odbiorcy i dróg dotarcia do niego.

Wysunięto znów zagadnienie planu wydawniczego, doboru książek. Alarmujące objawy w dotychczasowym ruchu wydawniczym to: procentowy wzrost tytułów drugo i trzeciorzędnej beletrystyki (nieudolne tłumaczenia obcej literatury); w sumie zbyt nikła ilość książek literatury pięknej, która jest główną pozycją bibliotek powszechnych; brak wznowień wielu podstawowych dzieł, wreszcie sprawa współczesnej twórczości pisarskiej i jej przystępności.

Sytuacja, jaka się wytworzyła w produkcji wydawniczej wygląda paradoksalnie: magazyny pełne książek, malejące nakłady, a jednocześnie, gdyby kto chciał zestawić np. komplet 1000 książek dla biblioteki gminnej — co za kłopot!

O konsumencie książki pomyśleli mali wydawcy prywatni, którzy dla drobnomieszczańskich czytelników z miejskich wypożyczalni wydali 2—3-tysiączne nakłady Giny Kaus, Courts-Mahlerowej i Vicki Baum.

Poważny dorobek mają wydawnictwa i instytuty, które wydały publikacje o charakterze naukowym i popularno-naukowym.

Ale dobrej literatury pięknej dla bibliotek powiatowych i gminnych, najbardziej potrzebnej, jest wciąż mało, nie znajdzie się jej nawet w ilości 500 tytułów. Ujawnia się w całej rozciągłości fakt, że interesu czytelnika masowego, tego, którego przede wszystkim należało pozyskać dla książki i czytelnictwa, nie doceniono, a może nawet i nie rozpoznano.

Jakich książek domaga się przyszły czytelnik bibliotek powszechnych, czytelnik z małych miasteczek i wsi, najliczniejszy. Z góry można powiedzieć, że nie idzie tu o uszczuplenie różnorodności książek, o jakąś specjalną i wybraną lekturę dla zamkniętego i niższego kręgu kulturalnego, o jakieś obniżanie jakości i poziomu na rzecz maluczkich, przeciwnie, idzie o proporcjonalne i równomierne zaspokajanie potrzeb i zainteresowań, które, może nieco górnolotnie, można jednak odważnie nazwać ogólno-narodowymi.

To, co powiem, poparte jest prawie dwuletnią obserwacją czytelnictwa w kołach członków „Czytelnika", obsługiwanych z końcem 1946 r. w 300 punktach bibliotecznych 50-tomowymi bibliotekami ruchomymi, z końcem 1947 r. w ponad 600 punktach częściowo bibliotekami ruchomymi, częściowo 10 i 20-tomowymi kompletami dobieranymi według życzenia czytelników. Czytelnicy ci są bardzo różnorodni, są wśród nich chłopi, robotnicy, rzemieślnicy, młodzież szkolna i pracownicy umysłowi (z przewagą nauczycieli) w miastach i na wsi, przede wszystkim ci, którzy nie mieli dotąd dostępu do książki i zgłaszali się na członków „Czytelnika" często dlatego, żeby mieć możność korzystania z biblioteki. Ich zainteresowania i życzenia znajdują wyraz w sprawozdaniach bibliotekarzy Kół i w różnych wypowiedziach, między innymi na kursach dla przodowników czytelnictwa, organizowanych dla Kół.

Czytana i pożądana powszechnie jest dobra, łatwa powieść i nowele. Zainteresowanie dla literatury popularno-naukowej, fachowej, pojawia się dopiero po okresie dłuższego czytania, dotyczy to również poważniejszej i wielotomowej beletrystyki. Nazwiska autorów, które się powtarzają to: Prus, Sienkiewicz, Rodziewiczówna, Żeromski, Kraszewski, Orzeszkowa. Ze współczesnych autorów: Morcinek, Fiedler, Kossak, Meissner, Kruczkowski. Z literatury obcej cieszą się zainteresowaniem tylko pisarze o światowej sławie. Codzienna od wielu lat strawa przeciętnego czytelnika miejskiego — drugorzędna beletrystyka przekładowa — nie ma popytu na wsi. Z literatur obcych najbliżsi, najbardziej czytani są pisarze krajów północnych, których po wojnie nie wznowiono.

Stale żąda się książek podróżniczych, które dają wiedzę o świecie i pociągają przygodami (dotychczas wydano najwyżej kilkanaście tytułów — najbardziej ubogi dział katalogu!) i powieści historycznych. Rozmowy z czytelnikami świadczą, że nie jest to, jak się czasem przypuszcza, „chęć ucieczki od rzeczywistości". Powieść historyczna jest źródłem łatwego poznania historii, ale najbardziej pociąga w niej szukanie porównań między współczesnością a przeszłością, możliwość oceny teraźniejszości w zestawieniu z obrazem czasów minionych.

Dość powszechnie daje się zauważyć zainteresowanie literaturą współczesną, której z początku okazywano wyraźną niechęć. Czytelnicy domagają się książek „o ostatniej wojnie", „o współczesnym życiu w Polsce", „o przemianach, które zaszły w Polsce", z których to życzeń można zaspokoić tylko pierwsze.

Czytelnik wiejski sięga po broszury społeczno-polityczne dopiero po dłuższym okresie czytania, jako po uzupełnienie i pogłębienie zagadnień poruszonych w literaturze pięknej.

Na ogół żąda się książki „pogodnej", co przetłumaczone na nazwiska poszukiwanych autorów oznacza książkę pozytywną, książkę pisaną z myślą o oddziaływaniu społecznym i społecznej celowości, czyli właśnie pisarzy pozytywizmu. Jeśli idzie o zainteresowanie dla książek o współczesnej Polsce, powraca w nim bodajże ta sama myśl — nadzieja, że będą one rozpatrywały sens życia, którego zadaniem jest odbudowa, lub że będą wskazywały środki i możliwości poprawy ujemnych jego objawów. Tu jest prawdopodobnie również przyczyna omijania twórczości pisarskiej, charakterystycznej dla dwudziestolecia, to znaczy książek, które ukazując zło nie znajdywały dróg wyjścia, nadając mu wagę czegoś ostatecznego. Obu książkom Jalu Kurka, „Grypa szaleje w Naprawie" i „Woda wyżej" właśnie chłopi zarzucają, że we wsi nie zauważył nic prócz ciemnych stron jej życia i że „aby wieś opisać wybrał sobie akuratnie czas powodzi".

Należy z naciskiem podkreślić, że czytelnik na wsi nie czyta „dla zabicia czasu", chce mieć pewność, że odniesie korzyść z przeczytanej książki, że się czegoś dowie, że książka odpowie mu na pewne pytania, rozstrzygnie jego wątpliwości, podda zagadnienia, nad którymi warto się zastanowić. Dlatego w rubryce „życzenia" tak uparcie powtarzają się nazwiska znanych autorów, o których wiadomo, że warto ich czytać. Dlatego tak różne są losy nowych książek, nowych autorów. Ta sama książka, w punktach o podobnym składzie i poziomie czytelników, w jednym miejscu nie ma powodzenia, w innym jest nieustannie w ruchu. Musi czekać, aż ją ktoś pierwszy ruszy z półki i „odkryje" a jeśli jest dobra, „robi karierę".

Bardzo ważną rolę ma tu bibliotekarz i przygotowanie go do roli przodownika czytelnictwa decyduje o należytym wykorzystaniu biblioteki. On pierwszy wydaje opinię o książce, robi jej reklamę. Dlatego oprócz książki musi dotrzeć na wieś informacja o jej treści i autorze.

Tu przechodzimy do ogólniejszego zagadnienia: do organizacji czytelnictwa.

Przyjmijmy, że wszystkie potrzeby odbiorców książki będą wzięte pod uwagę, że planowo i szybko zorganizuje się wydawnictwo książek, których się domagają, że cena ich będzie niska, że ustawa biblioteczna będzie realizowana w szybkim tempie i sieć bibliotek powszechnych wyjdzie ze stadium projektów. Nasuwa się pytanie, czy i w jaki sposób znajdzie czytelnik drogę do biblioteki. O głodzie książki i o potrzebie zaspokojenia go powiedziano już bardzo dużo. Jedni, a jest ich wielu, twierdzą, że głód ten istnieje, inni, nieliczni, temu zaprzeczają. Obie strony mają po trosze słuszność. Bliżej prawdy będziemy, jeśli stwierdzimy, że go prawie nie ma, ale można i trzeba go wywołać, podsycać, a potem pielęgnować.

W tej chwili, jakkolwiek chętnie zamknęlibyśmy na to oczy, aktualne jest w Polsce zagadnienie książki niewykorzystanej. Przy małej ilości bibliotek i faktycznym braku książki na wsi, przy wszystkim, co na ten temat wiadomo, stoją na półkach bibliotecznych książki, po które nikt nie przychodzi.

Warto sobie z tego zdać sprawę, żeby uniknąć nowego zabobonu, ulegania nowej magii, której czary nie poskutkują. Skłonność do monizmu, do szukania jedynej drogi i jedynego klucza, wszystkim nam właściwa, przynosi z reguły rozczarowania, ale uleczyć się z niej jest bardzo trudno. Po okresie wiary w wysokie nakłady przyszedł okres nadziei na skuteczność ustawy bibliotecznej, która niewątpliwie ułatwi życie przede wszystkim wydawcom. Ale przecież, żeby już pozostać przy cnotach ewangelicznych, brakuje tu jeszcze miłości — miłości człowieka, troski o czytelnika.

Realizacja ustawy bibliotecznej jest bezspornie nakazem chwili, doprowadzenie książek do sieci bibliotek jest pierwszym, konkretnym i praktycznym posunięciem w tym do tej pory nadmiernie teoretycznym zagadnieniu. Jeśli nie udostępnimy książki przez biblioteki powszechne, wszelkie poczynania kulturalne na szerszą skalę będą zawieszone w próżni.

Czytelnicy bibliotek w mieście to: młodzież szkolna, która czyta lektury i cieniutka warstewka amatorów z kategorii „co wieczór romans do poduszki" — to ofiary obowiązku i nałogu, zabijające w ten sposób wolny czas. Tym wystarczy, że biblioteka jest i można do niej przyjść po książki. Nie jest to jednak widocznie wystarczające udostępnienie książki dla wszystkich możliwych czytelników, mimo że w mieście tyle czynników zapędza człowieka do czytania: wystawy księgarń, reklamy w kinie, czytający znajomi czy recenzje w łatwo dostępnej prasie.

Czym dopiero będzie udostępnienie książki na wsi, jeśli wyrazi się tylko w tym, że będzie biblioteka. Oczywiście, są ośrodki z dawnymi tradycjami bibliotecznymi, z uniwersytetami ludowymi, z kołami „Wici" i ich akcją samokształceniową, gdzie „udostępnić" będzie znaczyło po prostu otworzyć bibliotekę. W czytelnikowskiej praktyce mieliśmy od razu na początku wsie w Kieleckiem, gdzie na 50-tomową bibliotekę bywało po stokilkudziesięciu czytelników, którzy w kolejce czekali na możliwość pożyczenia książki. Ale to są przedświty tego, co będzie, a nie obraz dzisiejszych możliwości. Musimy liczyć się z tym, że chłopi nie zaczną pewnego dnia czytać tylko dlatego, że na wsi jest biblioteka. Czytelnik na wsi ma więcej oporów do przezwyciężenia, zanim zabierze się do czytania. Są wsie, w których nie widziano nigdy biblioteki i tam z niegdysiejszego czytelnika elementarza nie wykluwa się z dnia na dzień czytelnik dla książki, o której nigdy nie słyszał.

Dlatego obok uruchomienia funduszów samorządowych i państwowych na biblioteki równie ważne jest jednoczesne uruchomienie wszelkich form działania i wszystkich sił społecznych dla zorganizowania czytelnictwa.

To, co powiedziałam o czytelnictwie w Kołach członków „Czytelnika", udało się osiągnąć tylko dlatego, że biblioteczki były wypożyczane czytelnikom związanym w koła, i nie poszło łatwo i prosto. Trzeba było pewnego czasu, żeby się przyzwyczajono do tego, że biblioteka jest i można z niej korzystać. Przydatna okazała się i ta więź organizacyjna, która grupę ludzi łączyła z biblioteczką.

Potrzebne były przyjazdy instruktorów, zebrania, pogadanki, rozmowy o książkach, wystawy książek ilustrowanych recenzjami, występy „żywego słowa", cały zespół środków zbliżających do książki, pobudzających do czytania, wytwarzających atmosferę sprzyjającą dla zainteresowań kulturalnych w ogóle.

Jak ważny jest moment organizacyjny w czytelnictwie świadczy powodzenie klubów książki „Czytelnika". Przecież każdy może sobie wybrać w księgarni całkiem niezłe książki po 300 złotych. Ale fakt, że się jest członkiem klubu, że wprowadzono czynnik stałości i regularności w nabywaniu książki, którą ponadto można otrzymać do domu, że o treści książek poinformowano, że można zwrócić się z pytaniami, żalami, uwagami i otrzymać ciepłe słowo w kąciku klubu w „Odrodzeniu" i „Przekroju", stwarza więź między książką a czytelnikiem. I różnica, która ujawniła się między książką będącą do nabycia w księgarni a książką klubową jest podobna do tej, jaka zachodzi między książką udostępnioną w bibliotece, a tą, którą ludzi złączonych w jakiś zespół czytelniczy poszukuje i pozyskuje dla siebie. Pozyskuje za pomocą środków, które ją do ręki czytelnika wiożą, a jego przekonają o pożytku i celowości trudu, jaki przedsiębierze. Przy upodobaniu i zamiłowaniu wsi do wspólnego czytania i omawiania książek wszelkie formy organizowania czytelnictwa są tym bardziej pożądane i właściwe.

Nie jest moim zadaniem szczegółowe omawianie metod organizacji czytelnictwa i wskazywanie na możliwych wykonawców — zrobią to fachowcy i powołane do tego czynniki. Idzie mi tylko o podkreślenie konieczności jednoczesnego podjęcia sprawy książki na wszystkich odcinkach: produkcji, rozprowadzenia i konsumcji.

Udostępnienie książki, jeśli to ma być prawdziwe udostępnienie w życiowym, praktycznym sensie i nie ma wyrażać się tylko w pozycjach ksiąg inwentarzowych bibliotek czy w cyfrach nakładów zalegających magazyny, czy być pustym słowem, musi dokonywać się drogą połączenia wszystkich elementów wchodzących w to zagadnienie, toczyć się po wielu torach, wykorzystać wszelkie formy, jakie tylko ktokolwiek zdoła wymyślić, żeby osiągnąć cel: żywą książkę wśród żywych ludzi.

Ludmiła Protschke

Konkurs na utwór sceniczny

WOJEWÓDZKA RADA SZTUKI I KULTURY ARTYSTYCZNEJ W GDAŃSKU

ogłasza

KONKURS LITERACKI NA UTWÓR SCENICZNY DLA DZIECI

Warunki konkursu:

Praca konkursowa winna posiadać formę utworu dramatycznego o tematyce morskiej lub Wybrzeża (czas trwania około 1 godziny), ujętej w sposób dostępny dla dzieci w wieku od lat 8 do 13. Rozpatrywane będą tylko prace nigdzie nie publikowane i nie wystawione. Do pracy, zaopatrzonej godłem, należy dołączyć zaklejoną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i adres autora. Za trzy najlepsze prace wyznacza się nagrody w wysokości 100.000, 70.000 i 40.000 zł.

Zastrzega się dla jury prawo dowolnego łączenia lub dzielenia nagród w miarę uznania.

Prace w maszynopisie lub bardzo czytelnym rękopisie przesyłać należy do dnia 30 czerwca 1948 r. pod adresem: Wojewódzka Rada Sztuki i Kultury Artystycznej, Gdańsk, Urząd Wojewódzki.

Skład jury zostanie podany do wiadomości publicznej w terminie późniejszym.

ŻYWIOŁY I ETYKA

Kazimierz Zenon Skierski podejmuje w „Głodnych żywiołach"*) porachunek z moralnością i ideologią wojenną mieszczaństwa warszawskiego. Pokazując jednakże objawy patologiczne walki o byt, jaką mieszczaństwo prowadziło, używa Skierski całego szeregu chwytów artystycznych, których ostateczną funkcją nie jest poparcie krytyki, lecz obrona ideologii pozornie atakowanej grupy społecznej.

„Głodne żywioły" to oczywiście kręgi mieszczaństwa, a zwłaszcza inteligencji, które pozbawione przez okupację zajmowanych posad i stanowisk, od razu po zakończeniu wojny rzucają się na spekulację, opanowują czarną giełdę i przejmują z rąk Żydów, spędzonych do ghetta, wszelkie pośrednictwo handlowe. Przyczyny tej gwałtownej ekspansji gospodarczej mieszczaństwa w pierwszym roku wojny widzi K. Z. Skierski przede wszystkim w demonicznym opętaniu swoich bohaterów.

Spekulant Leopold, były radca ministerstwa skarbu, „wyskoczył naraz jako cichy, nie meldowany nigdzie, utalentowany szmugler" i poczyna prowadzić interesy na olbrzymią skalę — zarówno handlowe, jak i erotyczne. W handlu jest bezwzględny, nie uznaje żadnych zasad moralnych — prócz korzyści. Natomiast w stosunkach erotycznych jest bezwolny i nieokiełznany. Zdradza, musi zdradzać piękną i kochającą go żonę Alinę z wszystkimi napotykanymi kobietami. Nie umie opanować swego erotyzmu. Tego samego wieczoru, kiedy umiera jego córeczka, Leopold ma randkę z żoną przyjaciela, co prawda nie wiemy, czy na nią idzie. Jest zakłamany aż do dna: — kiedy piękna i kochająca go żona, wywieziona na roboty do Niemiec, zachodzi tam umyślnie w ciążę (nb. z przyjacielem Leopolda), aby do niego powrócić, Leopold jej nie przyjmuje. A więc zakłamanie, rozkład moralny, zupełne zdeklasowanie byłego radcy? Niezupełnie, zaraz bohater podniesie się z upadku.

Leopold wywiera niszczący wpływ moralny na swego przyjaciela Władysława, którego „ciągnie jak przepaść". Władysław jest profesorem socjologii, ma na utrzymaniu chorego na gruźlicę brata i jego rodzinę. Zmuszony przez nędzę robi parę przypadkowych interesów z Leopoldem, przerzuca się potem na handel złotem i walutami, wchodzi w kontakt z niemiecką Devisenstelle, jest na jej usługach jako — powiedzmy — prowokator. A więc rozkład moralny i zupełne zdeklasowanie sie byłego profesora socjologii? Niezupełnie, zaraz bohater podniesie się z upadku.

Oprócz Leopolda i Władysława określeniem głodnych żywiołów objąć by można rodzinę jego brata, będącą na jego utrzymaniu i czyhającą na jego dobytek i mieszkanie (i również wchodzącą w krąg spekulacji), dalej złotą młodzież mieszczańską, zarobkującą przy wymianie złomu i walut, najzupełniej zdziczałą moralnie, naładowaną antysemityzmem i mniej lub bardziej świadomie pomagającą Niemcom likwidować Żydów, wreszcie — prawie wszystkie kobiety powieści, które bądź przechodzą przez ręce i łóżko Leopolda, bądź handlują wszędzie, czym się da, a więc i ciałem, bądź też pracują w Devisenstelle jako prowokatorki i agentki i albo pogrążają się ostatecznie, stając się utrzymankami szpiclów i gestapowców, albo — podnoszą się z upadku.

Od ostatecznego upadku społecznego bohaterów „Głodnych żywiołów" ratuje i utraconą równowagę moralną im przywraca miłość, albo konspiracja.

Najbardziej gładko załatwiona została przez K. Z. Skierskiego sprawa Władysława. Władysław opętany jest miłością do kobiety, której się wyrzekł, popełniwszy zbrodniczy czyn (wrzucił na rozkaz pijanego żandarma dziecko do rzeki). Ani przypadkowe kontakty z konspiracją, bliżej zresztą nieokreśloną, ani praca profesorska na tajnych kompletach nie przynoszą mu wyzwolenia z kompleksu. Wyzwala go spowiedź, odbyta przed obcym, ale przyjaznym człowiekiem. Pozbywszy się kompleksu, Władysław pojedna się z Justyną tym łatwiej, że jego upadek był pozorny — Devisenstelle było bowiem gniazdem wywiadu angielskiego.

Gorzej z Leopoldem. Trudno nam bowiem wyobrazić sobie, że jeśli ten erotoman pogodził się z Aliną i przyjął nawet jej przyszłe dziecko za swoje (Władysław wyraża niedwuznacznie dezaprobatę dla czynu Aliny) — to już tym samym życie jego nabrało innego sensu, bardziej zgodnego z moralnością niż dotychczasowe. Władysławowi, którego w tym jednym wypadku wolno utożsamiać z autorem, pojednanie Leopolda i Aliny nasuwa takie refleksje, wyrażone w liście do Leopolda, zamykającym powieść:

„Widok Was obojga nasunął mi wiele na(!) myśli. Twoja decyzja dała mi potwierdzenie siebie. Twoje czyny, które potępiałem, nie mając do tego prawa, widzę już inaczej. Ty nawet sam nie wiesz, coś sprawił. Ty nawet nie wiesz, ile Ci można zawdzięczać. Byłeś potrzebny. Stałeś się nawet pożyteczny".

W ten sposób formułuje K. Z. Skierski metafizyczny, to znaczy niesprawdzalny system wartości etycznych, w którym o szkodliwości, względnie pożyteczności człowieka nie decyduje ani społeczna jego rola, ani osobista wartość moralna, lecz — oddziaływanie na bliźnich. I jeśli ten nawet pozornie zły wpływ wywrze skutki błogosławione, wtedy człowiek jest potrzebny, nawet pożyteczny, i nawet nie domyśla się, ile mu można zawdzięczać.

Jak sądzę, dosyć trudno byłoby przeprowadzić dowód takiej tezy w powieści realistycznej, opowiadanej przez wszechwiedzącego i nadrzędnego w stosunku do postaci autora, który jednakowo traktuje stworzonych przez siebie ludzi i jednakowo — powiedzmy obiektywnie — ocenia fakty, jakie zaszły na stronach jego powieści. Pisarz nie mógłby tak długo zataić zbrodni Władysława, nie mógłby nie skomentować jej od siebie, nie mógłby go tak łatwo z niej rozgrzeszyć. Toteż K. Z. Skierski bardzo szczęśliwie skomponował swoją powieść jako pamiętnik Władysława. Zwolniło go to od obiektywnej oceny faktu i pozwoliło mu zrównoważyć moralnie czyny bohatera z ich psychologicznymi motywami. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że forma artystyczna tej powieści służy tutaj bardzo wyraźnie potrzebom ideologii. Forma pamiętnika ułatwiła K. Z. Skierskiemu jeszcze inne, trudne zadanie: wprowadzenia przyrody jako czynnika porządkującego moralnie. Skierski unika pokazywania mechanizmu transakcji walutowych, szmuglu, nie operuje cyframi i odważnikami, nie pokazuje nawet pejzażu miejskiego, tak niezwykłego przecież podczas okupacji, z zamiłowaniem natomiast — i z dużym artyzmem opisuje warszawskie drzewa, Wisłę, zachody i wschody słońca, mgły, pola, deszcze i chmury. Opisy takie w powieści realistycznej raziłyby swoim natłokiem i byłyby może nieumotywowane, ale mieszczą się one doskonale w luźniejszej formie pamiętnika, zwłaszcza że Władysław pochodzi „z młodego pokolenia chłopów", ledwie osiadłych w mieście. Przyroda współżyje z człowiekiem i z narodem, odbija jego pragnienia i niepokoje, symbolizuje jego charakter i poczynania.

„Przyroda odchodzi od swej żywiołości, nasilenia — my trwamy w swej upartej nadziei. Wszystko przechodzi, a wiara w wyzwolenie dominuje nad każdym, choćby najprostszym zjawiskiem... Człowiek myśli, jaka smutna jesień, — a chciałby zawołać „niech żyje Polska!"

Wreszcie — rzecz może najważniejsza — przyroda jest miernikiem w systemie wartości moralnych. W liście do erotomana Leopolda pamiętnikarz Władysław (którego tym razem utożsamiłem z autorem) pisze co następuje:

„Patrząc bowiem na Was, na Wasz spokój, przeniosłem się myślą pod grupę kilku drzew, które obserwuję od wielu miesięcy. Z początku widziałem ich nieme, czarne konary i spękane pnie. To była jesień. Potem martwota gałęzi i trzonów, zatajenie w sobie tajemnicy życia — to zima. Potem kleiste pędy oddane niebu i wiatrom — wiosna. Teraz znów urodzaj, usypisko owoców, tajemnica soków, które w nich wzbierają jak w żywocie Twojej kobiety. — To lato. A więc jest tajemnica trwania i przemiany. A więc jest czas. Ale czy czas ma siłę rozgrzeszania?... Czas, to gniazdo życia.

Jest czas zjawisk i tajemnica przemiany. Jest życie!"

Innego systemu wartości etycznych poza opartą o **biologizm metafizyką** oddziaływania człowieka na człowieka ideologia mieszczańska nie może już wytworzyć.

Tadeusz Borowski

*) **Kazimierz Zenon Skierski.** Głodne żywioły. (Powieść). Warszawa, Sp. Wyd. „Wiedza", 1948; str. 241.

Szkoła krytyków

Dyskusja o „Lalce"

Bez mała rok temu rozpoczęta na łamach „Kuźnicy" dyskusja o „Lalce" przypomina źle wykonany zimny ogień. Taki zimny ogień zapala się ostro, później ledwo się tli, coś tam wybuchnie, a kończy żywot wspaniałym fajerwerkiem. Nie inaczej było ze wspomnianą dyskusją. W kwietniu ub. roku zainaugurował ją rozłożony na cztery numery „Kuźnicy" (13—16) „Wstęp do „Lalki" pióra Jana Kotta, w lipcu (nr 26) zatliło się artykułem Kałużyńskiego „Czy „Lalka" jest powieścią o zniechęconym mieszczuchu?", w tym samym miesiącu zapaliło się wystąpieniem J. Kulczyckiej-Saloni „Nieco inna przedmowa do „Lalki" (nr 28—29) — wreszcie pyszny fajerwerk w grudniu, styczniu i lutym sporządzili pirotechnicy Kazimierz Budzyk i Jan Kott (nr 50, Budzyk „Jeszcze dyskusja nad przedmową do „Lalki", nr 51—52, r. 1948 nr 1—2, Kott „Jeszcze o „Lalce" i pozytywizmie", nr 5 „Lalka" po raz ostatni").

Sprawa wszakże, jaką dyskutowano, zasługuje na odmienny od zimnego ogień zainteresowania. Dlatego nie sądzę, ażeby się można zgodzić na zamarcie dyskusji w jej punkcie najbardziej interesującym, kiedy — jak ujrzymy to później — przewodnictwo sporu z rąk publicystów, krytyków i polonistów gotów przejąć kto inny. Wyciągając tę roczną już sprawę na wokandę „Szkoły krytyków" z trybu zimnego ognia, chciałbym tylko wyjaśnić — dlaczego dopiero teraz. „Bo one mają taką technikę" — rzekło dziecko pod choinką, zagapione w tryskające światłem cudo.

Essay Kotta, który rozpalił dyskusję, posiadał wszelkie cechy wystąpień tego krytyka. Przy pobudzającej nowością ujęcia i zasadniczo przeprowadzonej, zaopatrzonej w oryginalne argumenty tezie głównej — dziwna niecierpliwość szczegółów. Za wiele interpretacji pobocznych, wątpliwych i niedomyślanych do końca z tą konsekwencją co teza główna.

Ta bowiem jest oczywista i nowa: „Lalka" to wielka s u m m a polskiego kapitalizmu, w ogóle s u m m a XIX w. w Polsce. Wiek XIX w Polsce — ściślej mówiąc w Królestwie Kongresowym, albowiem wiek XIX tych samych dziesięcioleci w Galicji i Poznańskiem przebiega w odmiennie kształtującym się cyklu gospodarczo-społecznym — otóż taki wiek XIX rozpoczął się późno, dopiero około 1863 roku, ale kończy się w tym samym okresie, co na zachodzie Europy. Ponieważ był skrócony, był też i bardziej skondensowany. Dlatego „Lalka" nosi takie cechy powieści, które gdzie indziej rozłożyły się na kilka generacji pisarskich, od Balzaka do Bourgeta. Kott bardzo chytrze wszystkie te słoje pośpiesznego wzrostu pokazuje na przecięciu „Lalki". Dotąd w porządku.

Po drodze jednak Kott — przynajmniej jedno, typowe dla jego niecierpliwości „po drodze" muszę wymienić. Artykuł „Lalka po raz ostatni" kończy Kott cytatą z pobytu Wokulskiego w Paryżu, kiedy to Wokulski zachwyca się urządzeniami cywilizacyjnymi tego miasta: „olbrzymie ścieki chronią ich od chorób, szerokie ulice ułatwiają im dostęp powietrza". Jego zachwyty kwituje takim wybuchem własnym: „Tak w roku 1887 doktor filantropii społecznej i postępowy wychowawca polskiego mieszczaństwa wyobrażał sobie najwyższy szczebel cywilizacji. Jakżeż blisko był już wtedy mieszczański solidaryzm nikczemnej apologetyki kapitalizmu i płaskiego filisterstwa!"

Czyżby? Kiedy Orzeszkowa przez Pragę przejeżdżała do Karlsbadu, kiedy Żeromski po raz pierwszy ujrzał Wiedeń i Lwów, znajdujemy w ich listach podobne uniesienia nad brukiem, ściekiem i porządną kamienicą. „Jaki park, jakie chodniki, jakie oświetlenie" — zachwycał się Żeromski. Sami perfidni solidaryści?

Chcąc takie wypowiedzi należycie zrozumieć, o czym innym pamiętać wystarczy. O nieskanalizowanej po dziś dzień Łodzi, o błotach w Obrzydłówku, Cisach i wszystkich innych miejscowościach Żeromskiego, o wszelakich Wołominach, Zakroczymiach, Iłżach i Szydłowcach ziemi polskiej, a sprawa okaże się prostsza i odmiennie, aniżeli Kott sądzi, związana z półkolonialną i eksploatowaną przez obcy kapitał Kongresówką. Ta eksploatacja wyrażała się również w braku najbardziej prymitywnych urządzeń cywilizacyjnych, bo inwestycja w te urządzenia nie dawała kolonialnej stopy dochodu. Przyzna zaś każdy, że droga do bardziej postępowych form gospodarki prowadzi jednak przez chodnik zamiast rdzennego błota, i żarówkę zamiast świeczki, a nie — mimo chodnika, mimo żarówki. Pisarzy zaś, którzy z naiwnym zachwytem przybyszów z ulicy Dobrej i Podwala zachłysnęli się Polami Elizejskimi czy Wałami Hetmańskimi, nie oskarżajmy o urojone grzechy. Ich wypowiedzi należy ustawiać we właściwym kontekście czasu i pochodzenia, tak przynajmniej nakazuje metoda stosowana przez Kotta.

Otóż podobnych „po drodze" w essayu Kotta było dosyć dużo i z nich to wyrosła wypowiedź Budzyka, dla piszącego najbardziej cenne ogniwo dyskusji. Kott, stwierdziwszy rozbieżność pomiędzy przebiegiem wydarzeń powieściowych w „Lalce" a jego interpretacją losu Wokulskiego jako typowego awansu społecznego dorobkiewicza na wielką skalę, winą za tę rozbieżność obciążył Prusa — „Lalka" źle się kończy, „Lalka" powinna się kończyć inaczej, małżeństwem Wokulskiego z Izabellą, jego zdemaskowaniem przez pisarza. Ładna historia! Kott ma rację, że dzieła literackie wolno i należy czytać wbrew intencjom twórcy, ale skończony kształt artystyczny utworu, to już nie są intencje. To są granice, jakich krytykowi przesuwać nie wolno, nawet jeśli jego komentarz w nich się nie mieści.

I tutaj, w to miejsce zasadniczej wątpliwości, włączył swój głos Budzyk: „Oderwanie się od zadeklarowanej przez Prusa problematyki konfliktu wybitnej jednostki z ogółem będącym w stanie społecznego rozkładu, nie będzie odejściem od rzeczywistości literackiej, jeśli zagadnienie to, uznając je nadal za centralne, przełoży się na inny język. Z języka ideologa na język artysty. Trzeba się przyjrzeć artystycznej konkretyzacji tego problemu i dopiero w niej można się dopatrywać poznawczej roli sztuki w stosunku do przedstawionej rzeczywistości".

Prościej: nie należy do schematu akcji w „Lalce" wnosić poprawek, lecz należy zapytać, co z tego schematu, jeśli się zastosuje socjologiczną metodę wyjaśniającą, naprawdę wynika. Jeżeli wolno przez chwilę zostać arbitrem, powiem, że interpretacja losu Wokulskiego, podana przez Budzyka, najbardziej przekonywa w całym sporze. Później dorzucone argumenty Kotta tego zaufania u chwilowego arbitra nie podważają. Dlatego, zanim za tydzień porozmawiamy o pobocznych motywach sporu, niech przepiszę, na co się zgadzam:

„Stracone złudzenia Wokulskiego to tragedia zdeklasowanego ziemianina, któremu społeczeństwo klasowe zamknie drogę do właściwej jego ambicjom pozycji społecznej. Jest to tragedia podwójna: rozchwiały się w ten sposób złudzenia pozytywisty, upatrującego możliwość awansu społecznego z jednej strony poza jakąkolwiek klasą w nauce, z drugiej na zasadach klasowych — w bogactwie. Pokazał Prus w ten sposób jeszcze jedno bardzo ciekawe zjawisko: kapitał, dla którego nie istniały już wtedy bariery międzynarodowe, musiał się cofnąć przed barierami międzyklasowymi, których wtedy jeszcze nie potrafił przekroczyć".

Siła oporu tych barier międzyklasowych zależała w dużej mierze od nałogów obyczajowych danego środowiska. Nałogów szczególnie sztywnych w Polsce. Dlatego los Wokulskiego jest mimo wszystko tak bardzo — polski. O tym, o sprawach innych — fajerwerk za tydzień.

kjw

Notatnik muzyczny

Koch w Filharmonii, pochwała Brahmsa

Był już u nas, w Krakowie, w zeszłym roku, ten interesujący skrzypek belgijski. Henryk Koch, wskutek paszportowego qui pro quo zwany na afiszach Franciszkiem.

Wielki przyjaciel Polski, Polaków i muzyki polskiej, posiada on wspaniałą muzykalność, posiada to, co się określa mianem „muzycznego temperamentu". Publiczność reaguje na to żywiołowo, bardziej może niż na wiele innych cech i zalet muzycznych.

Koch „bierze salę" i panuje nad nią, bo muzyka tkwi w nim, nie tylko w tonie jego skrzypiec, lecz i w emocji, którą przelewa w koncert Beethovena, lub też w emocji, której koncert ten mu udziela.

Obojętne, jaką się to dzieje drogą. Rezultat jest ten sam: Koch jest „ciepłym" artystą-wirtuozem.

Koncert z Kochem o mało nie skończył się jedną z tych katastrof, o których groźbie publiczność nic nie wie: przy końcu pierwszego allegro smyczek pękł mu u samej nasady. W biografiach artystów pisze się o takich wypadkach cuda, jak na przykład o pękających Peganiniemu strunach. W rzeczywistości takie nieszczęścia są dosyć częste i publiczność zazwyczaj nic o nich nie wie. Koch grał dalej „jak gdyby nigdy nic" — tyle tylko, że musiał uważać nie tylko na dyrygującego, Mierzejewskiego, na siebie i na Beethovena, lecz i na ów nieszczęsny smyczek, ruszający mu się niebezpiecznie i w nie zawsze zamierzony sposób w ręce.

Ciekawi jesteśmy zawsze wrażeń, jakie cudzoziemiec odnosi, przybywając do nas. Koch od 15 lat nie był w Warszawie. Pomijając już to — o czym zapominamy tu na miejscu — że nie może jej poznać, że uderza go żywotność wśród ruin i ich odbudowa, zdumiony jest samym faktem istnienia orkiestry symfonicznej i trudno mu uwierzyć, że gra ona dopiero od czterech miesięcy.

„Macie znakomity, czuły i żywy instrument, który nie żyje dzięki reputacji, lecz dopiero ją sobie zdobywa. Przy pracy, której się tu nie boicie, będzie to wkrótce znakomita orkiestra".

Podobnie z muzyką polską. Zagranica zna ją z festivalów, nagród, konkursów, lecz ciągle jeszcze nie mamy dostatecznie rozbudowanego działu wydawniczego, który by mógł zasilać w sposób metodyczny i stały rynek światowy. Wszystko to dopiero się tworzy, szczególnie ważna jest w tej dziedzinie działalność Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Rozbudowa tej pracowitej placówki jest jedną z najpilniejszych potrzeb naszej muzyki — produktu, który szczególnie się na eksport nadaje.

Interesująco brzmi i pełna jest werwy zwięzła uwertura Grażyny Bacewiczówny. Zbudowana przejrzyście, otwiera program deseniem lekkich figur i biegników, ujętych w żywy rytm i bogatą szatę instrumentalną.

Na zakończenie Mierzejewski poprowadził IV Symfonię Brahmsa. Jej wielka budowa brzmiała przejrzyście, tematy i emocja tego dzieła podane były ze zrozumieniem i umiarem, akcenty końcowych wariacji miały już cechy brahmsowskiej wielkości, tego, co w niej jest równowagą i co działa wstrząsającą emocją, zawsze utrzymaną w ryzach.

Brahms jest zawsze bardzo wielki i dojrzały, bez względu na to, czy się jego muzykę lubi, czy nie. Jest jak dobrze uprawione pole dojrzałej, dorodnej pszenicy. Artystyczna mądrość tkwi w tym, kto umie tak dokładnie wyplenić wszelkie chwasty, osty i szkodliwe bławaty, by — dzięki temu — zapewnić swej sztuce trwałość dzieł nie przypadkowych. Brahms zdobywa najoporniejszych amatorów uroczysk i baniek mydlanych. Jeżeli kogoś nuży, to tylko tych, którzy uważają, że nudne może być pole, żniwo i sypiące się obficie ziarno przy dobrze zorganizowanej młocce. Brahms jest jak piękna praca. Bogactwo tej dorodnej, żyznej dojrzałości stawia go w rzędzie największych — tych, którzy się nie mylą, bo przemyśleli wszystko, co odczuli.

Pochwała czy tym bardziej jakaś „obrona Brahmsa" jest rzeczą zupełnie zbędną. Lecz w świetle wielkich dzieł warto pomyśleć nad metodą i tajemnicami, które pozwalają je tworzyć wybranym. Warto zastanowić się, co jest artystycznym pożywieniem odbiorcy i jakie to rzuca światło na nasz wysiłek zbiorowy.

Zygmunt Mycielski

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

NAUKI LEKARSKIE

Tadeusz Pankiewicz. Apteka w ghetcie krakowskim. Kraków, „Świat i Wiedza", 1947; str. 150 i 2 nl.

Biblioteka Popularno - Naukowa. 13. **Bernard Zabłocki.** Virusy. O zarazkach niewidzialnych pod zwykłym mikroskopem. Warszawa, „Książka", 1947; str. 109 i 3 nl.

WOJSKOWOŚĆ

Michał Żymierski, Marian Spychalski. Wojsko Polskie. 1944 — 1947. Wybór rozkazów, przemówień i artykułów. Warszawa. „Prasa Wojskowa", 1947; str. 316 i 4 nl. i 6 knl. ilustracji.

LITERATURA

Stanisława Fleszarowa. Sen o morskiej potędze (poemat z czasów Władysława IV). Sopot, „Fregata", 1948; ;str. 92.

Juliusz Fuczik. Reportaż spod szubienicy. Tłumaczyła **H. Gruszczyńska - Dubowa.** Warszawa, „Książka", 1947; str. 110 i 2 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 27. **Julian Ursyn Niemcewicz.** Śpiewy historyczne. Opracował **Zdzisław Libera.** Warszawa, „Książka", 1947; str. XIII i 1 nl. i 106 i 2 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 28. **Cyprian Kamil Norwid.** Poezje wybrane. Opracował **Mieczysław Jastrun.** Warszawa, „Książka", 1947; str. XXI i 1 nl. i 119 i 5 nl.

Cyprian Norwid. Vade - mecum. Podobizna autografu. Z przedmową **Wacława Borowego.** Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, 1947; str. XXIII i 1 nl. i 127 i 1 nl.

Pino della Selva. Le chant héroique. Poëme. Paris, 1947; str. 8 i 4 nl. i 1 knl.

NAUKA O LITERATURZE

Wojciech Bąk. Zagadnienia i postacie. Łódź, Wł. Bąk, 1947; str. 117 i 3 nl.

EKONOMIA

Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. Seria A. Nr. 4. **Wincenty Styś.** Drogi postępu gospodarczego wsi. Studium szczegółowe na przykładzie zbiorowości próbnej wsi Husowa. Wrocław, 1947; str. 344 i 1 knl (errata) i 10 knl (mapy).

PRZEMYSŁ, RZEMIOSŁO, HANDEL, TRANSPORT

Podręczniki Uniwersyteckie. **Kazimierz Niemski.** Teoria i technika księgowości przedsiębiorstw. Warszawa, „Książka", 1947; str. 410 i 2 nl.

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Dzień Krysi. Napisała i narysowała **Hanna Mortkowicz - Olczakowa.** Warszawa, „Książka", 1947; 8 knl.

Ferdynand Antoni Ossendowski. Życie i przygody małpki. Pamiętnik szympansiczki „Kaśki". 48 rycin. Wydanie czwarte. Wrocław, Książnica - Atlas, 1947; str. 224.

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Bibliograficky katalog ceskoslovenske republiky. Literarni tworba z roku 1945 vyjma noviny a casopisy. Vydala Narodni a Universitni Knithovna v Praze. Zpracoval Vaclav Fock. Vecny seznam sestavil **Josef Zika.** Praga, 1946; str. 4nl i 424 i 2 nl.

RELIGIA

Stefan Szuman. Poważne i pogodne zagadnienia afirmacji życia. Katowice, Józef Nawrocki, 1947; str. 134 i 2 nl.

NAUKA, KULTURA

Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Posiedzenie doroczne w dniu 23 listopada 1947 r. w 40-lecie założenia T. N. W. Warszawa, 1948; str. 32.

GEOGRAFIA

Biblioteka Geograficzna. **Piotr Modrak.** W krainie kangura. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 123 i 1 nl.

PO RAZ DRUGI

Proszę o powtórzenie mego wiersza pt. „Pieśń murzyńska", wydrukowanego błędnie w numerze 2 (163) „Odrodzenia". Poprawny jego tekst brzmi:

PIEŚŃ MURZYŃSKA

Czerwona rzeka Perry
Czerwona rzeka Perry

Księżyc nad wodą wschodzi
Księżyc nad wodą wschodzi

Osypuje się pył bawełny pył na liściach akacjowych drzew ptak wyśmiewacz gorący zmierzch dnie i noce nie ma dla nas wytchnienia

Czerwona rzeka Perry

Śniło mi się że jak orzeł miałem skrzydła
I uniosłem się w obszar błękitu
Śniło mi się że rozpostarłem skrzydła
I leciałem nad wielką równiną

Księżyc nad wodą wschodzi

Drzewo szeptu drzewo boleści w pyle zmierzchu w pętlicy dróg w pyle bawełny drzewo przerażenia

I zrzuciłem ciężar swój
I głos trąby nawoływał mnie
I wchodziłem nieruchomą stopą
Na złocistą drabinę obłoków
Gwiazdy niebios przywitały mnie

Czerwona rzeka Perry
Czerwona rzeka Perry

Księżyc nad wodą wschodzi
Księżyc nad wodą wschodzi

Czesław Miłosz

Polemistów czas zacząć...

Z nie lada kłopotu wybawił mnie ostatnio nie kto inny, lecz co za radość, Stefan Kisielewski. W samą porę wyskoczył z atakiem na „Przekrój“, który właśnie zamierzałem pochwalić z okazji stopięćdziesiątego numeru. „Przekrój“ — nie Kisiela. Serdeczne „Bóg zapłać, Kisielu! — Dopóki Kisielewski nie złamał pióra, a pisze z pasją, potrafimy jeszcze chwalić z „realistycznym cynizmem“ zwłaszcza „Przekrój“ i „Nowe Drogi“, którym na równi z „Tygodnikiem Powszechnym“ zarzuca ówże Kisiel znienawidzoną przez siebie „fabrykację urzędowego patosu i optymizmu“.

I w tym wypadku, jak w każdym, chroniczny wdzięk Kisiela polega na tym, że częściowo ma rację. Jego oburzenie pod adresem „Tygodnika Powszechnego“ jest oczywiście najzupełniej uzasadnione. Patos tego pisma przypomina co najmniej „Kazanie na górze“, a raczej „Kazanie... z góry“. Sam Kisiel wysłuchiwał już zresztą kazań Jerzego Tyradowicza ze szpalt „Tyradnika Powszechnego“, nie raz. Słusznie przeto ktoś zauważył, że kiedy Kisiel atakuje „Tygodnik Powszechny“, można mu wierzyć na słowo. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że o ile w ataku swoim na „Tygodnik Powszechny“ Kisiel jest niewątpliwie szczery, o tyle „Przekrój“ i „Nowe Drogi“ przyplątał tylko poto, żeby zmylić czujność... Jerzego Turowicza, zastosował z powodzeniem cynizm, o którym pisze, że „bywa wcale niezłą rzeczą, można się nim posługiwać w walce“. A może.. z Kisielewskim nigdy nic nie wiadomo, nawet w kurii... może naprawdę ostrzy pióro, aby „usunąć szkodliwą tandetę, zrobić miejsce dla myśli swobodnej, żywej, czystej“ nie w „Tygodniku Powszechnym“, lecz zupełnie serio w... „Nowych Drogach“ i „Przekroju“. Cóż na to odpowiedzieć? Chyba już tylko po łacinie: Medice curia te ipsum. Ale już po chwili przy następnym zdaniu Kisiela, że „Cyniczny zwolennik régime‘u jest postacią sympatyczną“ nawiedza mnie znowu uparte przekonanie, które tak pięknie wyraził Galileusz, ówczesna ofiara obrońców „myśli swobodnej, żywej i czystej“, stanąwszy na progu swego domu: A jednak on kręci... Ten Kisielewski. Czy nie miał przypadkiem na myśli samego siebie pod ową sympatyczną postacią cynicznego zwolennika régime‘u? Raczej tak. Zanosi się na to u Kisiela nie od dzisiaj. Ale po co od razu, jak mówi Gogol, łamać krzesła... redaktorskie, i w „Tygodniku Powszechnym“ i w „Nowych Drogach“ i w „Przekroju“! Wystarczy to uczynić z krzesłem podwłosiarza. Bo w obszernym gabinecie redaktora „Przekroju“ stoją już krzesła dla prorządowych cyników od trzech lat. Nawet zwolna pustoszeją. Proszę siadać, panie Stefanie. Kiedy był pan jeszcze buńczucznym optymistą pierwszego stopnia — tym antyrządowym, starsi pańscy koledzy wchodzili w pierwszy stopień cynizmu prorządowego. Teraz, kiedy pan woła: Eureka, odkryłem cynizm prorządowy — tamci z „Przekroju“ wchodzą już w drugi stopień **optymizmu** — tego prorządowego. Czytuje pan, zapewne, Gałczyńskiego, Minkiewicza, Walldorfa i Koźniewskiego. Czy właśnie ich ma pan na myśli pisząc o fabrykacji urzędowego patosu i optymizmu w „Przekroju“? Chyba nie. Bo jakże. Przecież każdy spośród miliona czytelników „Przekroju“, a więc także i pan, mógł przeczytać w stoczterdziestymdziewiątym numerze, wiersz Janusza Minkiewicza, „Humor i Ojczyzna“, gdzie w paru rymach powiedział to wszystko, jasno, bezbłędnie i dowcipnie, co pan wałkuje na dwóch bitych szpaltach jako najnowszy swój wynalazek, mieszając przy tym słuszne z niesłusznym. Mówi pan do nas, jak do panny młodej o potrzebie cynizmu prorządowego, a my już mamy niejakie doświadczenie w tym małżeństwie cynizmu z rządem.

Nie proponuję, oczywiście, Kisielowi „Nowych Dróg“, bo tam od początku nie było owej patetycznej frazeologii, której pełno jeszcze w felietonach właśnie Kisielewskiego (pierwszy stopień cynizmu — antyrządowy). „Nowe Drogi“ radzą sobie nawet bez cynizmu prorządowego, bo zyskują czytelników znacznie skromniejszymi środkami niż cynizm — gruntowną znajomością przedmiotu, o którym piszą. Tak, tak, panie Stefanie. W sprawach polityczno - społecznych, a lubi pan pisać na te tematy, będzie pan już w najbliższym razie tylko wąziutką ..ścieżką obok Nowych Dróg“.

Ale głowa do góry! Nil desperandum, jak mawiał ciężko doświadczony pan Micowber. W „Przekroju“ nigdy nie zbraknie miejsca dla ludzi utalentowanych, a w głębi serca prorządowych, jak właśnie pan. Pisywał pan już przecież w „Przekroju“, tak ostatnio napastowanym przez „Tygodnik Powszechny“ i nie mógł pan nie zauważyć, że pismo to realizuje już od trzech lat pańskie spóźnione postulaty. W kameralnych ramkach, jak w medalionach, mieszczą się tam nieraz poważne treści w smacznym i lekko strawnym sosie talentu. Co tydzień wyfruwa „zielona gęś“ rozchwytywana jak żywa gąska przez milion czytelników „Przekroju“, mimo że z prawa narzekają, jak pan, że jest wazeliniarsko - prorządowa, a z lewa znowu, że jest zbyt owaka. Co tydzień może pan przejrzeć, jeżeli nie rani to pańskich uczuć, reportaż z fabryki lub z ziem odzyskanych, Koźniewskiego, Burzyńskiego, Walldorfa...

Zmyliło pana to wszystko, ludzie, nazwiska... Cóż tkwił pan zbyt długo w pierwszej fazie optymizmu — tego antyrządowego. Znam ten ból. W każdym człowieku, który przechodził na tę stronę chcieliśmy widzieć Wallenroda. Pomylił pan Wall-dorfa z Wall-enrodem. Przykre. Dla pana i dla Walldorfa. Potem przyzwyczailiśmy się — druga natura! Nie raził nas już nawet artykuł Borejszy, prawda? A teraz tęsknimy, ale fałszywy honor i patos, który tępi pan tak zawzięcie, każe nam szarpać się w tym wszystkim, co pozostało już tylko w „Polskim Radio“ i w „Polskim Filmie“ — w sensie prorządowym i w „Tygodniku Powszechnym“ — w sensie innym. Dla ratowania tego fałszywego honoru i dętego patosu wygrzebujemy z zapomnienia Ministerstwo Propagandy, przyczepiamy się do czegoś, co już dawno nie istnieje i martwimy się na wyrost, że może już wkrótce nastąpi cud i „Polskie Radio“ wraz z „Polskim Filmem“ przemówią do nas ludzkim głosem, jak oślica Balaamska. Przyzna pan, że z oślicą cud był większy, a jednak pan wierzy weń święcie.

Spóźniamy się, jak mawiał as cynizmu prorządowego, o pięć minut i trzy lata. Ale rozumiem pana i wybaczam. Trudniej jest nadążać w Krakowie niż w Warszawie. Tam działa C. K., a tutaj K. C. Tym większego szacunku nabieram dla Eilego i „Przekroju“.

P. S. Przejrzałem w tej chwili mój felieton i stwierdzam nie bez radości, że udało mi się pochwalić „Przekrój“ bezwazelinowym systemem optymizmu drugiego stopnia, tego **prorządowego.** Przyznaję jednak gwoli sprawiedliwości, że nie dokonałbym tego bez użycia osoby Kisiela, jako pretekstu. Sądzę, że można by ten pretekst powtarzać w każdym felietonie. Ułożyłem nawet na użytek moich kolegów po optymizmie formułę, z jaką należy zwracać się do „Tygodnika Powszechnego“ o wypożyczenie ob. Kisielewskiego.

P. P. S. Przeczytałem przed chwilą w „Modzie i Życiu Praktycznym“, że kisiel podaje się zwykle z żórawin, na czerwono, przepraszam więc, że podałem tym razem kisiel na szaro.

Jan Rojewski

Guliwer w krainie liliputów



Foto Service

Pisarz

Premiera w Teatrze Lalki i Aktora pozwoliła nam zapoznać się z nowością w powojennej Warszawie: lalki, marionetki, i pacynki wypełniły maleńką, kilkadziesiąt centymetrów głębokości liczącą scenkę w dawnym „IPSIE“ przy ulicy Królewskiej.

Ten debiut jest owocem długiej pracy. Wychowanie szeregu „ruszaczy“, znalezienie odpowiedniego tekstu i muzyki — wreszcie wyszukanie aktora, który by wytrzymał groźną konkurencję lalki na scenie, było poważnym problemem dla dyrekcji teatru.

Lalki są barwne, pomysłowe, dowcipne i dobrze zróżnicowane. Widz — dorosły czy dziecko — poznaje je w lot, nabiera do nich sympatii, lub nie cierpi ich, jak na przykład admirała, który jest czarnym, przewrotnym charakterem.

„Podróże Guliwera“ Swifta są wymarzonym tematem marionetkowego scenariusza. Czy został on w pełni wykorzystany przez autora tekstu, Tadeusza Sowickiego (który także jest twórcą dobrej, prostej dekoracji) — pozostaje kwestią otwartą.

Z punktu widzenia czysto teatralnego, sam Guliwer musi nieraz zbyt długo grać niemą rolę biernego w stosunku do lalek widza, autor tekstu jakby zapomniał o obecności aktora w chwilach, gdy ten przestaje mówić lub działać.

Na małej scence aktor ten, Tadeusz Marek, sprawiał istotnie wrażenie olbrzyma. Podziwiać należy swobodę jego ruchów w ciasnocie lilipuciego świata i zachowanie ciągłego kontaktu z otaczającymi go lalkami. Nie starał się on walczyć z groteskowym aspektem marionetki, pozostał zdrowym, dobrodusznym marynarzem, reagującym po ludzku na przygody baśniowego świata, do którego się dostał. Wykazał dużo talentu i umiaru oraz prawdziwą klasę urodzonego „człowieka sceny“, znanego zresztą z uprzedniej swej kariery aktorskiej.

Miłe i proste są piosenki Prószyńskiego. O pracy i reżyserskich zasługach Ireny Sowickiej świadczy całość spektaklu. „Ruszacze“ z Fijewskim na czele zdali swój trudny egzamin. Należy życzyć teatrowi temu dalszych, zasłużonych sukcesów. Poparcie publiczności ma on zapewnione, więc i tak zwane „czynniki miarodajne“ zwrócą nań z pewnością uwagę.

Warto, by autorzy, muzycy i dekoratorzy zaczęli produkować na wyścigi materiał dla tej sceny, dającej ogromne pole wyobraźni i pomysłowości.

mc

OD WYDAWNICTWA

Dnia 6 lutego 1948 r. ustąpił na własne życzenie z redakcji „Odrodzenia redaktor naczelny Karol Kuryluk.

Korespondencja

TRZYDZIEŚCI TYSIĘCY KSIĄŻEK...

Do redaktora „Odrodzenia“

W 167 numerze „Odrodzenia“ w mej notatce pt. „Włoskie nowości wydawnicze“ przeczytałem, jak to znakomity poeta Jan Brzechwa na plaży we Fregene pod Rzymem, na zapytanie Alberta Moravii, ile książek w życiu wydał, „wychylił pół szklanki chianti... obliczał... i odpowiedział: trzydzieści tysięcy“.

Czytelnicy sądząc, że ta odpowiedź była oczywistym skutkiem nadużycia alkoholu — pomylili się. Po prostu drukarz się pomylił. Brzechwa w ogniu pytań najwybitniejszego powieściopisarza współczesnych Włoch załamał się i zeznał, że wydał w swym życiu 18 (słownie osiemnaście) książek o przeciętnym nakładzie 30.000 (trzydziestu tysięcy), czym wzbudził zachwyt autora „Romany“ i „Agostina“, tak dla polskiego pisarza jak i czytelnictwa.

Mieczysław Pruszyński
(Konstancin)

„ODRODZENIE“ WTRĄCA SIĘ DO SPRAW HIERARCHII KOŚCIELNEJ!

Do redaktora „Odrodzenia“

W nr 7 „Odrodzenia“ nazwano autora książki „Jedna szósta kuli ziemskiej“ arcybiskupem Canterbury. Korektorzy zapewniają, że nie mieli zamiaru tak niefortunnie ingerować w sprawy hierarchii kościelnej i tylko przez niedopatrzenie dziekan Canterbury Hewlett Johnson został „przemianowany“ na arcybiskupa.

Korektorzy „Odrodzenia“

A P E L

W związku z przygotowywaną przeze mnie do druku antologią zapomnianych poetów polskich w. XIX (około stu nazwisk) poszukuję książek następujących:

Krystyn Ostrowski: „Jamby polskie“ (Lipsk 1863); „Nowe jamby“ (Kraków 1862); „Dzieła polskie“ (Paryż 1876).
Karol Sienkiewicz: „Pisma wierszem“ (Kraków 1888).
Rajnold Suchodolski: „Ulubione pieśni“, 1831.
Faustyn Świderski: „Pisma“, Częstochowa 1883 - 84.
Karol Świdziński: „Poezje“, Lwów 1878.
Aureli Urbański: „Utwory poetyczne“, 1884; „Poezje“, 1878.
Adam Gorczyński: „Wiersze“, Kraków 1883.
Feliks Kozubowski: „Poezje obłąkanego“, 1868.
St. Ropelewski: „Wiersze Nałęcza“, Paryż 1836.
Antoni Szabrański: „Poezje A. S.“, Wrocław 1826.
Ignacy Zakrzewski (wydał tom wierszy w Lipsku, 1866).

Będę niezmiernie wdzięczny pp. bibliotekarzom, księgarzom, antykwariuszom i zbieraczom prywatnym za łaskawe informacje, gdzie książki powyżej wymienione mógłbym znaleźć (kupić lub wypożyczyć).

Julian Tuwim
(Warszawa, Daszyńskiego 14).

Polonistów czas zacząć...

Wiek XVIII

Dokument „polski“ z czasów saskich:

„Podziękowanie pro gesta functione Ichmościów panów posłów“:

Koncredytowanego in hoc Orfano statu od Prześwietnego Województwa naszego W. M. panom Poselskiego Charakteru grato animo Woiewództwo optimae in futurum spei odbiera Relacyią za excepcyią Juramentu do nas Braci i za wszelkie W. M. Panów in rem praesentis status allaboracyie uniżenie Nomine całego Prześwietnego Woiewództwa dziękuję. Przemieniona zaś Convocationis in Confederationen nomenclatura, ne sit obnoxia, może się simili sanari antidoto sine detrimento wolney Elekcyi, iako tedy zacnie expedyowaney W. M. PP. funkcyi imponimus Gloriam, tak excypowany jurament do dalszey in Campo Electorali odkładamy consequencyi W M Panów. zaś Generosa Activitas et libertatis zelus cum magnis Nominibus nie zamilczane poydą inter Annales.

Wiek XX

Jeden tydzień demokratycznej prasy literackiej

(„KUŹNICA“, „NOWINY LITERACKIE“, „ODRA“, „ODRODZENIE“, „WIEŚ“).

Kontynuacja, egalitaryzm, kondycje, elew, infantylny, zoile, dezaprobata, vox populi, ekspresja, mikrokosmos psychologiczny, empiryzm ideowy, maniacka perseweracja, inwektywy, ambiwalencja niekongruentnych epifenomenów, minoderyjne, essaye, imbroglia, incroyable, inspirator, eskamotował, prekursorska, emulacja, menager, symplaczek, paseista, hermetyczny, estetyzujący, abstrakcyjny, repulsywny, belletr, besserwisser, profesionaliści, synkretyczny, dezintegracja, genetyk, reformacja, relatywizacja, acheront, outsider, musterkolekcja, a priori, kunstkamera majstersztyk, pejoratywny, specostwo, eskapizm, antydogmatyczny, definitywne, „ambiance“, polaryzacja, tout court, diuków, diuszesa, finał, ekskluzywny, egzotyczny, erozja, izolacja, metamorfoza, reprywatyzować, szyld, anons, precyzować, mediacja, sukcesy, atrakcja, status quo, geneza, minimalistyczny, ekspedycyjny, savoir vivre, quantité negligeable, sugestia, antynomie, oscyluję, apologetyczny, heroiczny, fetysz, autentyczny, fabularny, apostroficzny, esencja wojny, depresyjna, mikrokosmos wojny, memoiry, skatalogiczność, mentor, amici della domenica, mistyka witalna, afirmacja, apoteoza depresji, „La critique est aisèe“, sui generis terror, perwersyjna satysfakcja, konformizm, „integralne pieniactwo, terapeutyczna fobia, dysertacja, dydaktyzm crescendo, trick, parafraza, wizualny, zsynchronizować, misja genetyczno - biograficzna, sceneria okolic, dezyderat, refleksja, pointa, diametralny, reakcja spontaniczna, ekskluzywny, oscylować, novum, specyficzna deformacja, „Lebensraum“, ekspansja, posegregować, apodyktyczne głupstwa, mankamenta, alianse, determinacja, kryptonim, transakcja, vendetta, maquis, esencja, autentyzm, aspiracja, destruktywny, symplicystyczny, „trop d‘infamie“, iunctim“ iunctim, animozja, „permitted violence“, „Negro blood“, „segragation of passengers“, „according to color“, „ in this modern day and age“, „What the Negro Wants“, instrumentum, rezerwuarm, Polska - Galley Fifteen, unifikacja, „etos“, infiltraty, transfiguracja, totem, frontalność, linearyzm, tektonika, hieratyzm, semantyczny, „ Ma très chère cousine“, „Missa solemnis“, „intymny“ passus pruderia, eksponaty, apogeum, reminiscencje, lukratywny, geneza, agraryzm, dywersja, kumulacja, akumulacja, antagonistyczny, edycja, konsument, reedycja, aprioryczność, selekcjonowanie, eufemistyczny, marginalia, sankcjonowanie, dystans, apoteoza, „transformowanie“, teokratycznie, hierarchicznie, ateistyczny, indeferentny, hierarchizowanie, diametralnie, mistyfikatorstwo, hermetyczne artystowstwo, kontemplacje, biologiczne, neologizmy, afirmacja, abdykacja, ignoracja, transcendentalny, hipostatyczny, rewelacja, spirytualna, autostrada ducha, eskorta, bryk, informacja, in gremio, Caveant consules, realia.

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia“ wynosi — jak dotychczas — 80 zł

REDAGUJE ZESPÓŁ: Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-1739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik“, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-47635 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“